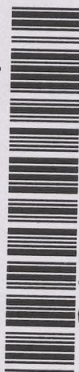


Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.

ЛННБ України ім. В. Стефаника



015243270

„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. : : :
Przedpłatę rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal.
ćwierćrocznie 2 kor. 40 hal. — należy przesyłać na ręce
Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupczyca). — W agencjach na
provincji prenumerata kwartalnie 2 kor. 70 halerzy.

Ogłoszenia: Od wiersza 1-lamowego petytem 30 hal.
Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana
Hupczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905

Biuro Dzienników MARYANA HUPCZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340

przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
do wszystkich dzienników.

Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10.
Męski ankr. remontoir.



Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mie-
kiewicza lub z godłem polsk.
bardzo dobrze idący na min.
wyregulowany. Na żądanie
wysyłam darmo i opłatnie
katalog ilustr. zegarów, ze-
garków, wyrobów jubiler-
skich, chińsk. srebra, przy-
borów, narzędzi zegarmi-
strzowskich i towarów mu-
zycznych

F. Pamm, Kraków, Zielona 103

Rocznik XIV.

„RODZINA I SZKOŁA“

z dodatkiem
naukowym

„WIEDZA I PRACA“

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz
szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszym pismem pedagogicznym polskim.
„Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleciła galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa
we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okre-
gowych w Galicji a śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1903 l. 2162 do
bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku oraz bukowina c. k. Rada szkolna krajowa
w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1903 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół
polskich na Bukowinie.

Rodzina i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekar-
skiej i higienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej
w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskim i katolickim.
Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje rocznie 8 Mk., półrocznie 4,50 Mk. — Zeszyt
pojedynczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ 0,50 Mk.

Numera okazowe wysyła na żądanie otwartą pocztą i opłatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost
Administracya „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go.)
Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko,
miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie
ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszurowane 6 Mk., oprawne 7 Mk. (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“
z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

BALSAM aptekarza THIERRY'EGO

Naśladowictwo prawnie wzbronione.

Prawdziwy jedynie z zakonnica, jako marką ochronną.

Niezawodny środek przeciw wszelkim
chorobom piersi i płuc, leczy kaszel,
legmę, chrypkę, zapalenie gardła, kur-
ze żołądka i wszelkie bóle żołądkowe,
apalenie wszystkich organów wewnętrz-
nych, brak opetytu, złe trawienie,
atwardzenie; zewnętrznie leczy wszel-
kie choroby ust, ból zębów i oparzeliny,
larcie w kościach, wyrzuty, przed-
szysztkiem influenze. 12 małych, lub
1 dużych podwójnych, albo jedna
wielka flaszka do podróży K. 5.

MAŚĆ CENTYFOLIOWA aptekarza
THIERRY'EGO

edyne prawdziwa, zadziwiający, nie-
hybny i niezrównany środek przeciw
astarzalym nawet ranom wrzodom,
ranieniom, zapaleniu, chorobom nóg,
opieniu, wyciąga wszelkie obce ciała
usuwa ropnik, zapobiega bolesnym
operacyom. Dwie puszkki K. 3.60.

Zamówienia do Apteki pod Aniołem Stróżem
A. THIERRY w Pregrada koło Rohitsch. 9



Allein echter Balsam
aus der Schutzengel-Apotheke
des
A. Thierry in Pregrada
bei Rohitsch-Sauerbrunn.

Jan Ihnatowicz

poleca

BAY-RUM używa się ze znakomitym skutkiem do mycia
i utrzymania w czystości skóry na głowie.
Flakon 80 hal. i 1.60 kor.

KAPTOLINA przeciw wypadaniu włosów. Flakon 2 kor.
OLEJKI fiołkowy, rezedowy, jaśminowy, różany, mille-
fleurs. Flakon 1 kor.

POMADA LITEWSKA wpływa korzystnie na włosy,
posiada zapach przyjemny i nie jeleceje. Słoik 1 k

PUDR NA WŁOSY biały, do czyszczenia i pudrowania
włosów. Pudełko 60 hal.

PUDR POPIELATY I ŻÓŁTAWY do upiększenia wło-
sów. Pudełko 1 kor.

LWÓW — ul. Sykstuska 25 i ul. Hetmańska 6.

KRAKÓW — Sukiennice 20.

PRZEMYŚL — Mickiewicza 11.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Jubileusz potężnej instytucji finansowej.

(Korespondencya z Poznania).

Rok bieżący, 1911, — to rok jubileuszowy najstarszej, a zarazem najpotężniejszej z naszych spółek, *Banku Przemysłowców* w Poznaniu, na który Wielkopolska z prawdziwą spogląda dumą. W jubileuszu tym bierze udział poniekąd całe społeczeństwo, bowiem Bank Przemysłowców zrósł się z nim nie tylko dla tego, że ogniskuje w sobie przedstawicieli wszystkich warstw, ale co najważniejsza, że dzieje tej instytucji stanowią znakomity obraz i przykład zarazem naszej pracy zbiorowej. W tej instytucji znalazły ujęcie szlachetne wysiłki społeczeństwa nad podźwignięciem się sobie, wysiłki uwieńczone plonem bardzo obfitym i nader pomyślnym, krzepiącym. Wystarczy wskazać na fakt, że za przykładem Banku Przemysłowców powstały wszystkie obecnie w Wielkopolsce istniejące spółki, na które spoglądamy z taką dumą, na które Niemcy patrzą okiem zawistnym, które dały nam podstawę do twardej i niezachwianej walki z niemczyzną.

Skromne były zaczątki dzisiejszego Banku Przemysłowców. Oto przed okragło pół wiekiem szczupłe grono kupców poznańskich przystąpiło do założenia *Towarzystwa Pożyczkowego dla przemysłowców m. Poznania*. Lokal tej pierwszej spółki mieścił się w jednym pokoju; osobnych urzędników Tow. Poż. nie miało, zadawalając się bezinteresowną pracą swych założycieli. Trudno byłoby w jednym liście przedstawić dzieje tego Tow. Pożyczkowego, które następnie zamieniło się na Bank Przemysłowców, zadowolę się przeto na razie zacytowaniem kilku cyfr porównawczych, i przedstawienia dzisiejszego stanu rzeczy na podstawie sprawozdania za rok ubiegły.

Mając pod ręką sprawozdania Banku jedynie od r. 1896, przeto rok ten wezmę do porównań

z rokiem 1910, co nam wykaże dostatecznie w jak szybkim tempie postępował rozwój Banku-jubilata. Oto gdy w r. 1896 od udziałów na wypłacenie członkom 1 procentu dywidendy zużyto mk. 7 332 37 (dano 6 proc. czyli mk. 43 394,25) — to w roku zeszłym na 1 procent dywidendy potrzeba było mk. 69 234,80 (dano 7 procent, czyli mk. 484 643,50) czyli, że udziały członków w roku zeszłym wynosiły przeszło *siedm i ćwierć miliona marek*.

Od depozytów wypłacono przeciętnie 4 proc., czyli, że w roku 1896 wypłacono 112 659,15, zaś w 1910 roku — mk. 904 168,65. Z końcem więc roku zeszłego złożonych było na 15428 kontach oszczędności mk. 24 855 594,03.

Gdy zysk Banku Przemysłowców w r. 1896 wynosił 54 179 mk., to w roku zeszłym podskoczył on do kwoty 601 054 mk.

Również znaczny przyrost wykazuje kapitał obrotowy Banku Przemysłowców, który w r. 1896 wynosił mk. 4 185 075, zaś w ostatnim roku sprawozdawczym wynosił mk. 34 716 349. — Obrót ogólny w roku 1910 wynosił mk. 141 652 343.

Wreszcie liczba członków, która w roku założenia 1861, wykazuje skromną cyfrę 55, — z końcem zeszłego roku wzrosła do 5830 udziałowców.

Aby i najdrobniejsze oszczędności znalazły drogę do Banku, zaprowadzono w ub. roku żelazne puszki oszczędnościowe, skarbonek, które wydaje się deponentom na żądanie do domu za złożeniem kaucyi mk. 3. — Nowy ten sposób zbierania oszczędności zjednał sobie — zwłaszcza wśród dziatwy rzemieślniczej — szybko zwolenników, czego dowodzi fakt, że w ciągu dwu miesięcy wydano 100 tego rodzaju skarbonek, a popyt na nie stale wzrasta. Kluczyki od skarbonek tych znajdują się nie w ręku oszczędzającego, lecz w banku, tak że wypróżnienie jej odbyć się może jedynie w banku.

Na koniec wspomnieć należy, że również i pożyczki, udzielone przez Bank, które w roku 1861 wynosiły mk. 540, — a w roku 1896 —

mk. 3.327.404, — wzrosły z końcem roku przeszłego do kwoty 30.631.000 mk.

Dodać jeszcze należy, że Bank Przemysłowców, pragnąc przyjść w pomoc sferom drobnokupieckim i rzemieślniczemu, niedomagającym często — kroć pod względem kredytu, nadużywanego nie raz nadmiernie przez odbiorców, zaprowadza obecnie dyskontowanie pretensyi książkowych. Stanowić to będzie wielkie udogodnienie i przyczyni się niewątpliwie do uzdrowienia stosunków finansowych u interesowanych.

Tak więc pokrótce przedstawia się obraz rozwoju pierwszej naszej instytucji spółkowej. Przytoczyłem suche cyfry, które powiedzą więcej, aniżeli wszelkie frazesy, choćby najpiękniejsze. Półwiekowe dzieje Banku Przemysłowców to jedna z najpiękniejszych kart w historii wyzwolenia się Wielkopolski z pod wpływów materyalnych Niemców.

Wasz.

Wybory miejskie we Lwowie.

Lwów w lutym.

Zarzucono miasto afiszami. Po ulicach wiozą się tragarze, niosący tablice z wykazami kandydatów i rekomendacyami komitetów rozmaitych, z domów zwieszają już szarfy, przypominające spełnienie obowiązku obywatelskiego: jesteśmy w ostatnim stadium przygotowań do wyborów miejskich.

Obecna ordynacja wyborcza istnieje blisko pół wieku. Podczas obrad nad statutem miasta Lwowa poseł Floryan Ziemiałkowski mówił w Sejmie, że „miasto Lwów niema różnic pod względem majątku; u nas kupiec najmajętniejszy, lub rzemieślnik jest zarówno biedny, jak i najbiedniejszy; interesy ich te same“. Dla tego też ordynacja wyborcza jest jednolita: każdy, opłacający pewne minimum głosuje jawnie i bezpośrednio; kobiety i instytucje, opłacające także odpowiednio podatki, mają prawa wyborcze. Rada miejska składa się z 100 członków, wybieranych na 6 lat; co 3 lata odbywają się wybory połowy Rady. Obecnie poza 50 radnymi, ustępującymi wskutek wygaśnięcia mandatu, wakuje jeszcze 3 mandaty wskutek śmierci lub wyjazdu rajców. Wybranych zatem będzie 53 radnych.

Wybory obecne dokonywują się pod innemi hasłami, aniżeli dotychczasowe. Hasłami agitacyjnymi dotąd były sprawy gospodarcze. Drożyzna, podatki, polityka komunalna były czynnikami w walce rozstrzygającymi. Dopiero przy obecnych wyborach podniesiono hasła polityczne.

Rzecz to naturalna, bo stosunki w mieście zmieniają się na niekorzyść naszą. Nie znamy jeszcze wyniku spisu ludności w r. 1910, ale wiemy, że w r. 1909 na 197 519 mieszkańców liczonego rzymsko-katolików 103 607, grecko-katolików 32 390, innych wyznań 61 432. Procentowo stosunki dla nas przedstawiają się jeszcze niekorzystniej. W stosunku do ogółu mieszkańców Lwowa było:

u	w roku 1880	1890	1900
grecko-katolików	15,9 proc.	17,1 proc.	18,4 proc.
rusinów	5,7 „	7,1 „	9,5 „
izraelitów	28,2 „	28,2 „	27,0 „
niemców	8,1 „	9,5 „	12,7 „

Widać stąd jasno, że maleje liczba grecko-katolików i żydów, poczuwających się do polskości. Z każdym rokiem zaś wzrasta przyrost rusinów i żydów, odnoszących się do nas wrogo. Coraz więcej powstaje instytucji kulturalnych i gospodarczych, których działalność zwraca się przede wszystkim przeciwko nam; coraz silniej oddziałują one na politykę komunalną; rusini i żydzi zakupują coraz więcej kamienic i miejsca na parcelację. Jest to polityka planowa i systematyczna.

Postęp żywiółów obcych spowodował koncentrację żywiółów narodowych w mieście. Objawiła się ona blokiem narodowym przeciwko klubowi reformy gospodarki miejskiej, grupującym żywióły „postępowe“, a wspomagany przez żydów, socjalistów i rusinów. Klub reformy podjął za sobą agitację niezwykłą. Poruszono z ogromnym nakładem sił i kosztów wszelkie „machiny“ wyborcze.

Przeciwko klubowi reformy wystąpiło mieszczaństwo, demokracja narodowa, zorganizowana w powszechnym Komitecie obywatelskim, a wspomagana przez organizacje narodowe, komitet handlowo-przemysłowy, katolicko narodowy i inne pomniejsze. Praktycznie urządziły się natomiast klub tow. demokracji polskiej z pod znaku posła Batagii i klub ludowców, które starały się o porozumienie i z blokiem, i z klubem reformy.

Walka zapowiada się bardzo gwałtowna. Zdaje się, iż na wyborach we wtorek 28. b. m. nie skończy się i przyjdzie do wyborów ściślejszych.

W ostatniej chwili, przed rozpoczęciem druku niniejszego numeru, otrzymujemy wiadomość ze Lwowa, że lista kandydatów bloku narodowego odniosła *zupełne zwycięstwo*. Lista postępowo-żydowska, mimo wytężonej i gorszącej agitacji, uzyskała zaledwie 4000 głosów na 11 tysięcy głosujących.

Polacy w Paranie.

Od jednego z kolonistów polskich, zamieszkałego od lat kilkunastu w Paranie, otrzymaliśmy artykuł, w którym autor, nie wdając się w szczegółowe opisy życia kolonistów naszych w Południowej Ameryce, kreśli w krótkich słowach swe przelotne wrażenia. Artykuł ten podajemy w całości.

Ach, ty Polsko, ty, która wyżywić mogłabyś pół świata, a dla własnych dzieci nie masz chleba... — myślałem, powracając pewnego wieczoru do domu. Droga prowadziła przez kolonię linią prostą, jak strzelił, na kilkanaście kilometrów długą.

Po obu stronach drogi znajdowały się zagrody naszych kolonistów. Przy zapadającym powoli zmroku, widać było chodzące w ogrodzonych pastwiskach bydło i konie. W niektórych domach błyszczały już światełka.

Przy jednym z domków siedziała gromadka dzieci w cieniu pomarańcz i fig i śpiewała głośno pieśń narodową. Mimowoli zatrzymałem konia i słuchałem błogiej melodyi polskiej, nuconej głośno i żywo niewinnych dzieciąt głosem, że aż echo odbijało od pobliskiego lasu i rozbrzmiewało uroczym wiosennej ciszy wieczornej po całej dolinie, niosąc dźwięki pieśni ojczystej aż do najdalszej chaty polskiego kolonisty na skraju wielkiej lesistej puszczy brazylijskiej. Stałem, słuchałem i zdawało mi się, że w Polsce.

Ale nie, bo tu wokoło mnie widzę nie dęby, buki, olszynę i brzozy, ale las araukaryi, kaneli i cedrów, krzewy fig, marmeli i herwy, oraz korony smukłych i wyniosłych palm, które stoją samotne pomiędzy wielkimi łanami zbóż, kukurydzy i mandioki, jakby na straży, przypominając zbłąkanemu wygnańcowi, że tu nie ojczyzna, nie Polska, lecz Brazylia.

Już dzieci inną pieśń śpiewały, gdy zadumany, wspiałem mimowoli konia ostrogami i popędziłem dalej, słysząc jeszcze za sobą dźwięki sokolego marsza: „Ospały i gnuśny...“ Po drodze spotykałem jeźdźców konnych, powracających z miasteczka do domu. Konie rosłe, dobrze osiodłane.

Siodło brazylijskie obite metalową blachą, na siodle kozuch czarny lub żółto farbowany, przepasany wyszywanym pasem.

Cugle z białej lub czarnej skóry, cała uзда, uzdzienica i podogonie ozdobne kółkami z białego metalu. Od siodła do popręgu przymocowany szeroki, ozdobiony metalowymi tarczami napierśnik. Strzemiona również metalowe z szerokimi koronami, a jeździec z wielkimi ostrogami u długich, z szerokimi cholewami butów i z plecionym ładnie ze skóry batem w rękę, o metalowej lub srebrnej gałce lub trzonku. Gdyby nie ich „dobry wieczór“ możnaby sądzić z wyglądu, że to nie Polacy.

W tej chwili przejechał koło mnie wóz, ciągniony czwórką ognistych koni.

Uprząż nowa i ładna, wóz z nakryciem; woźnica trząska z bicia i pędzi jak szalony. To właściciel wozu, to kolonista polski.

Nie wstydzą się oni dziś opowiadać swoim dzieciom, że w Polsce nie mieli prawie nic, że niektórzy byli ratajami, oweczarzami, parobkami i komornikami, inni zaś pracowali w fabrykach lub byli rzemieślnikami.

Często wspominają swym dzieciom, że mieli tam biedę i nędzę, przybyli tu z pięciu palcami i nie zlekli się tej dziewiczej puszcz, lecz wzięli się ochoczo do karczowania i palenia lasów i dziś, po kilkunastu latach pracy, doszli do pewnego już dobrobytu. Lecz nie wszystkim chciało się pracować.

Jedni poopuczczali swe niewypłacone loty (działy ziemi), szukając szczęścia dalej w świecie, przenieśli się do Argentyny i często znowu wracali z powrotem, nie znajdując i tam pieczonych gołąbków. Inni, nie przyzwyczajeni do pracy na roli, puciekali do miast, do fabryk, szukając zajęcia w swoim fachu. I ci często wracają na kolonie, gdy im się gwizdek fabryczny uprzykrzy. Inni znów posprzedawali swe w pobliżu miasteczka leżące działki i pousuwali się w głąb lasu lub udali się na dalsze świeże kolonie.

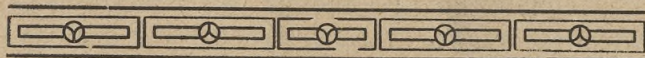
Tymczasem kolonista polski, który pozostał w miejscu i nie wydawał na przeprowadzanie się, na zagospodarowanie się i nową budowę, tak, jak ten, który sprzedał swą kolonię i przenosił się na oddalone i gorsze miejsca, ma się dobrze i pomimo, że swej ziemi nie sprzedawał, znajduje dziś pieniądze na kupno kilku bliższych lub dalszych lotów (działów ziemi wielkości 45 morgów) — jak powiada, dla swoich dzieci.

— Ziemia to grunt — powiada słusznie nasz kolonista — tego nie spali ogień, ani woda nie zabierze. Pieniądze, w ziemi umieszczone, zawsze najlepiej się opłacają.

Tę żywotność narodu naszego widzimy wyraźnie w Paranie, gdzie lud nasz szuka wszędzie ziemi do nabycia i wykupuje ją nawet z rąk prywatnych, tworząc nowe osady polskie.

I słusznie: nam nie ustępować, lecz na zajętych placówkach wytrwać należy i przez wykupno sąsiednich ziem — stale dążyć do rozszerzania polskiego posiadania w Paranie.

„Kolonista“.



WIELKI POST.

Z. GLOGER.

Posty obchodzone były w Polsce surowiej i ściślej niż w innych krajach katolickich Europy. Ale i tu zachodziła różnica, że gdy gdzieindziej zwracano więcej uwagę na ilość w spożywaniu pokarmów podczas postu, to Polacy przede wszystkim stosowali się ściśle do jakości, a jedli postnych rzeczy zwykle dużo. To też jeden z księży francuskich bawiący w Polsce za Jana Sobieskiego powiada: „Post Polaków, zależy tylko na wstrzymywaniu się od mięsa i masła, zresztą wszyscy jedzą i popijają w ciągu całego dnia“. Zato w Wielki piątek na pamiątkę męki Chrystusa Pana, wiele osób ze wszystkich stanów suszyło, nie przyjmując w dniu powyższym nawet wody do ust. Niektórzy znowu ślubowali nie przyjmować żadnego pokarmu w pierwszy dzień Wielkiejnocy i ściśle ślubu tego dochowywali. W pierwszych wiekach swego chrześcijaństwa, Polacy zachowywali post wielki tak surowo, że od jego połowy, czyli środopostcia, aż do Wielkiejnocy nie przyjmowali pokarmów ciepłych i gotowanych, żyjąc tylko chlebem, suszonymi owocami i rybą wędzoną. I to właśnie dało początek w średnich wiekach zwyczajowi zachowywanemu przez lud wiejski i miejski dotąd, że w środę półpostną swawolnicy wzięwszy rano stary garnek, jako naczynie niepotrzebne, i napelniwszy go skorupami i popiołem podbie-

gają ukradkiem i rozbijają o drzwi lub okiennice śpiącego sąsiada. W miastach kobiety mężczyznom a ci białogłową i pannom idącym ulicą rzucali takie garnki pod nogi wołając: „Półpoście mości panie lub Mościa pani i Mościa panno“.

W pierwszym i ostatnim tygodniu wielkiego postu poddawano mu się najsurowiej. Domy zamożniejsze używały w tym czasie oliwy zamiast masła, a uboższe oleju. Jest nawet stare na post przysłowie, że: „Mości panie dobrodzieju, dobre kluski na oleju“. Oliwą kraszono barszcz, a komuż zę starych ludzi nieznane były grzanki z chleba smarowane oliwą, osypywane kminkiem z cukrem lub solą i rumienione na rożnie nad węglami. Grzanki takie z piwem grzanem stanowiły zwykłą postną wieczerzę polską. Piwo grzane z żółtkiem nazywano polewką piwną, w czasie postów ulubioną i podawaną w szklankach. Przyrządzano także „mnichy“, zapewne nazwane tak od tego, że z kuchni klasztornych wzięły początek. Były to obwarzanki pokrajane w kostkę, sparzone wrzątkiem na sitku blaszanem, a polane na półmisku masłem z cebulą. Ryby stanowiły podstawę postu i dlatego przy wszystkich dworach, klasztorach i miasteczkach prowadzono ich hodowlę w licznych stawach i sadzawkach. W kuchniach możniejszych przyrządzano w poście z wielkich szczupaków „stokwisz“.

W czasie wielkiego postu milkły wszędzie pieśni światowe i wesołe, ustępując miejsca nabożnym, co lud wiejski dotąd zachowuje. Niewiasty unikają strojów, świecideł i kolorów jaskrawych przywdziewając tylko szaty ciemne i najskromniejsze.

Kitowicz w opisie obyczajów i zwyczajów za czasów saskich, powiada, że w Wielki piątek wieczorem albo w Wielką sobotę rano, czeladź dworska, uwiązawszy śledzia na długim i grubym powrozie, (do którego był nitką przywiązany) zawieszała go nad drogą na suchej wierzbie lub innem drzewie niby za karę, że przez sześć niedziel panował nad mięsem męcząc żołądki ludzkie słabym posiłkiem. Żur wynosili także z kuchni jako już dłużej niepotrzebny, przyczem czyniono nieraz krotofilę z jakiego fryca w domowym obyczaju, którego namówiono, żeby garnek z żwirem niósł na głowie lub wsieci na plecach, niby do pogrzebania go. Za niosącym frant jeden szedł z łopatą, mając



Zabójstwo św. Wojciecha przez Prusaków, dnia 23. kwietnia 997 r.

jakoby dół kopać żurowi i w nim go pochować. Gdy się wyprowadzili z kuchni na dziedziniec, ów co szedł z łopata, nagle uderzył nią w kruchy garnek, aby żur oblał niosącego, co wywoływało grzmot śmiechu wśród towarzyszących w tym orszaku zmyślnego pogrzebu.



6 dobrej radzie.

„Nie udzielaj nigdy rady nieproszona,
Gdyż jeśli się nie uda, tobie winę przypiszą“.

Wielu jest ludzi mających zdrowe zapatrywania, których następstwem zdrowy charakter i — niepodległość. A jednak nikt nie jest tak silnym, ażeby mógł w każdym

położeniu powiedzieć: „Nie potrzebuję żadnej rady nigdy, ani żadnego współczucia“. Bo najobrotniejszy i najrozsądniejszy pamiętać powinien o tem, że nadejdzie może w życiu jego chwila, kiedy stanie bezradny i kiedy zmuszony będzie prosić o radę i pocieszenie w danym względzie doświadczonych.

Jeśli jesteśmy w możności stać się użytecznymi przez dobrą radę, wówczas nawet obowiązek wobec ludzkości nakazuje nam, abyśmy jej udzielili. Ubogiego, stojącego u drzwi naszych, nie odprawiamy z niczem; pomoc, której mu udzielamy jest przemijającą. A wszakże dobra rada, z dobrego serca pochodząca, stokroć jest cenniejszą, w następstwa trwalszą, i — nie czyni nas uboższymi, podczas gdy dla innych może być bardzo użyteczną.

Wszakże trzeba być bardzo ostrożnym w udzielaniu rady. Jest bardzo wielu ludzi, którzy wcale nieproszeni, wtrącają się do spraw innych i nieproszeni — radzą, a nie zastanawiają się, że radząc, przyjmują na siebie pewną odpowiedzialność, jeżeli się ich rady usłucha. Nie powinniśmy nigdy bezmyślnie rad udzielać, ani nawet — poruszeni litością lub kłopotami innych — niepewne rady dawać; jeżeli się nie jest pewnym dobrych następstw, wówczas lepiej — poszukującego rady — przeprosić uprzejmie i wymówić się od niej; raczej to, aniżeli usłyszeć, że słuchający rad naszych, źle na tem wyszedł. Często zarożumiałość powoduje ludzi do dawania rad. Czuja się wywyższonymi przez zaufanie w ich mądrość, w piękne słowa ubierają swoje rady, chociaż nie są sami pewni, czy one są dobre.

Kto szczerze a rozsądnie radzi, powinien być pewnym dobrego rezultatu, wtenczas tylko rada jego posiada wartość, w przeciwnym razie, lepiej już narazić się na wyrzut: „niedobry; nie chce mi poradzić“.

Tak również, poszukujący rady tam tylko powinien jej szukać, gdzie wie z pewnością, że ją znajdzie. Pytanie — nie jest skargą i nikt nie potrzebuje się wstydzć szukać rady, ale też, powinniśmy zapamiętać rad, pochodzących ze współczującego i ze szczerego serca. W całym naszym życiu, powinniśmy się starać, mieć zawsze oczy na wszystko otwarte i o ile możliwości uczyć się wszystkiego dobrego i pożytecznego, z przykładu drugich. Tym sposobem zbieramy doświadczenia i uczymy się poznawać ludzi.

Nieudana robota, omyłka, nie powinna nam odbierać nigdy odwagi. „Przez szkodę mądrzejemy i umiemy dalszych unikać“. Zaś każda droga do celu mieści pewne przeszkody; jednak postępując odważnie po tej drodze naprzód, dochodzimy do samodzielności, wzbogacamy naszą wiedzę tak, że rzadko potrzebujemy odnosić się do drugich z prośbą o radę — i — to jest najlepszym.



Ostatni uśmiech.

(Obrazek z czasów wielkiej rewolucji francuskiej).

Skazano ją na śmierć!

Z głową dumnie podniesioną, pani de Perducy opuściła trybunał rewolucyjny. Odprowadzono ją z powrotem do więzienia, tym razem nie na długo. Przechodząc przez ciemne korytarze sądu, poczuła, że wciśnięto jej w rękę jakiś papier. Pomimo wzruszenia nie zdradziła się ani drgnieniem. Otrzymany przedmiot niespostrzeżenie wsunęła za stanik.

W więzieniu czekano już na nią. Pod oknem stał kat Sans-Faryne i rozmawiał ze szpiegiem tajnej policyi. Pod przeciwległą ścianą kupili się skazani. Pani de Perducy stanęła między nimi i wyjęła otrzymany papier. Poznała pismo starej, wiernej służącej Maryi.

Nerwowo zaczęła czytać.

„Będziemy w oknie, jeszcze nie wiem w którym, ale na pani drodze. Będę trzymać na rękach córeczkę pani, aby otrzymała ostatnie pożegnanie swej biednej matki“.

Skazana drgnęła radośnie. — Więc zobaczysz jeszcze przed śmiercią swe ukochane dziecko i chociaż spojrzeniem je pożegna.

W tej chwili wezwał ją pomocnik kata i przerwał słodkie marzenia. Kazał usiąść. Grubą ręką rozplótł włosy, obciął je i rzucił do kosza, gdzie leżało już mnóstwo innych.

Pod dotknięciem nożyczek pani de Perducy poczuła zimno lodowate, krew zdawała się krzepnąć w żyłach, miała wrażenie, że to żelazo noża gilotyny dotknęło jej obnażoną szyję.

Wnet jednak otrząsnęła się. — To nie koniec, wszak ma jeszcze ujrzeć swoją ukochaną córeczkę i potem dopiero ją zamordują.

Spojrzała ku oknu.

Szpieg mówił do kata:



F. Gebhardt.

Kazanie w górach.



Sadzawka przy kościele OO. Paulinów w Krakowie na „Skalce”
miejsce gdzie wrzucono zwłoki zamordowanego św. Stanisława.

— Teraz już nie męczę się bieganiem po mieście, nie tracę czasu na obszukiwanie katów Paryża, ale spokojnie idę za twoim wózkiem Sans-Farine i obserwuję skazanych. Prawie wszyscy mają krewnych, albo przyjaciół, którzy ich oczekują na drodze, lub na placu. Ciągłe śledzę skazanych. — W lot chwytam każdy znak, uśmiech, kiwnięcie głowy, ha, nawet przymknięcie powiek — wszystko to jest pozdrowieniem dla kogoś. Idę za tym znakiem i wykrywam podejrzanego w tłumie lub na balkonie. Żniwo mam obfite! Co, dobry pomysł?

Zaśmiał się

Okrutne te słowa i dziki śmiech przeraziły

panią de Perducy. — Niebezpieczeństwo grożące jej dziecku pozbawiło ją przytomności i uczucia, nie wiedziała nawet kiedy jej wiązano z tyłu ręce.

Ci oprawcy, ciągnący ją teraz na śmierć chcą jej samej użyć na zgubę jej własnego dziecka.

Zabić je może uśmiech matki. Czyż można sobie wyobrazić coś okrutniejszego!

— Obywatelko, jedziemy.

Poszła jak nieprzytomna. W głowie jej huczała tylko jedna myśl — nie spojrzeć na córkę — nie podnieść oczu, by tego przypadkiem nie uczynić. Jeszcze niedawno przejmowała ją radość



Spowiednik.

wielka na myśl, że przed śmiercią ujrzy córkę. I tę ostatnią radości pociechę odebrali jej, ba, gorzej jeszcze, napełnili straszną obawą, że zgubić może własne dziecko.

Spojrzała na szpiega, wpatrywał się w nią uważnie, czekał, że kogoś wszakże — wyda na śmierć.

Spuściła oczy. Postanowiła za nic na świecie ich nie podnieść.

Smutny orszak wszedł na ulicę, prowadzącą do placu kaźni. — Zaczęły się straszne męczarnie. Skazana czuła na sobie wzrok szpiega, chciała zakryć twarz dłońmi, ale ręce miała związane.

Opuściła głowę i wpatrywała się nieruchomo w deski wozu.

Po drodze rozlegały się krzyki:

— Boi się! O, patrzcie, boi się!

A ona myślała:

— Tak, boję się, ale boję się tego, że nie podnosząc oczu, zmartwię córeczkę i starą Maryę. Co też o mnie pomyślą, kiedy przejdę koło nich i nie zechcę nawet spojrzeć. Żeby tylko nie uczyniły żadnego znaku dla zwrócenia mojej uwagi. Żeby tylko nie wzywały mnie! Niech nie płaczą!

Może już je przeszedłem? a może dopiero zbli-

zam się do nich!... Może w tej chwili patrzą na mnie?

I usuwała od siebie te wizye, które ją kusily do podniesienia głowy.

W tem raptownie wóz się zatrzymał. Rozległ się głos kata:

— Obywatelko, zejźcie!

Przejechali! Podniosła czoło i w tej chwili zwróciła oczy na szpiega. Stał obok rusztowania gilotyny ze zniechęceniem na twarzy i ze spuszczoneym wzrokiem. Pani de Perducy odetchnęła z ulgą.

Z tem westchnieniem wybawienia powróciło jej całe życie.

— Córką uratowana!

I miała ochotę wybuchnąć nerwowym śmiechem na myśl, że prześladowca jej został zwyciężony, że stracił nagrodę.

Przyszła jej do głowy szalona myśl: zmylić szpiega, skierować wzrok na kogoś z tego okrutnego krwi żadnego tłumu, który z lubością przygląda się jej męce i śmierci. Lecz w tej chwili pomyślała, że wzrok jej paść może na kogoś z krewnych lub przyjaciół skazanych, co tu przychodzi dla otrzymania ostatniego pożegnania.

Nadeszła jej kolej. Przy pomocy katowskiego pachołka stanęła na rusztowaniu i pochyliła głowę.

Śmierć przyjęła z oczami lekko przymkniętymi i z uśmiechem szczęścia na ustach, gdyż uśmiech jej nie mógł już teraz nic złego wyrazić ukochanej córeczce.



Uprzejmość w życiu.

Niedawno pytał mnie ktoś, jak się zachować właściwie, kiedy się dostanie nieprzyjemne odwiedziny. Okazywać radość? To fałsz; — z drugiej zaś strony — wszak nie można powiedzieć: „Ach znowu przyszedłeś lub przyszłaś! Przecież musiałaś spostrzedz, jak cię znieść nie mogę!”

„Naturalnie, radości udawać nie można, jeśli się jej nie uczuwa. Ale zastanowiwszy się, można może przyjść do przekonania, że tego niemilego lub tę nieprzyjemną z mniejszem uprzedzeniem przyjąć będziemy zdolni. Bo: pomyśl tylko nad tem, jak smutnym losem jest — być „nieprzyjemnym” — tj. posiadać złe przymioty lub

przywyczajenia, które dla innych są nieznośne. Kto jest tak szczęśliwym, że cieszą się jego odwiedzinami, niech sobie zada pytanie: coby było, gdybym zamiast niekłamanej uciechy i uprzejmości, kiedy gdzie przyjdę, spostrzegł, że są ze mnie niekontenci — że chcieliby się mnie pozbyć — że mię unikają? Taka myśl to jak brzydki sen — nieprawdaż? I faktem jest, że ludzie, którzy czegoś podobnego doznali, jeszcze nieprzyjemniejsi i zgryźliwsi się stają. Kto wie, jakie przejścia poprzedziły nieprzyjemne nawyki lub zgryźliwość owych niepożądanych? Może tam były smutne dziecięce lata bez serc rodzicielskich, bez ojczyzny, może nabyte smutne doświadczenia, rozczarowania... myśląc więc o tem, czyż nie odezwie się serce litością dla biednej, nielubianej przez nikogo istoty, — — i oto nieprzyjemne odwiedziny, naraz, pozyskują naszą sympatyę, i chcielibyśmy czemkolwiek wynagrodzić jej lub jemu krzywdę, jaką mu życie uczyniło i pragnęlibyśmy wynaleźć jakąś dobrą stronę w tej biednej istocie, której nikt może nie lubi.

Łatwiej i przyjemniej przyjmować tych, których lubimy, ale właśnie to uczucie powinno pobudzać nas do wypróbowania sił naszych, w przeciwnym razie przemódz się, nie poddawać się kaprysom miłości, ogarniać nią nie tylko wesołych, ale i smutnych mało od losu uposażonych.

W całym życiu naszym wspomnienia przezwyciężenia się, będą nam miłymi. Żaden człowiek nie może być w tak wyjątkowych warunkach, ażeby mógł przebywać zawsze tylko w gronie ulubionych i najprzyjemniejszych; nawet najbliżsi krewni, przyjaciele, często nas czemś zniechęcają ku sobie i cierpliwość naszą na próbę wystawiają, a czy nie przyznacie, że nie jest to znowu tak wielką ofiarą nawet nieprzyjemnym odwiedzinom — okazać trochę uprzejmości?...

Gościnnością i uprzejmością odznaczali się zawsze Polacy, pamitajmy więc o tem i postępujmy godnie naśladując ojców naszych.

Błogosławieni, którzy światło niesą,
Oblani wschodu słonecznym szkarłatem!
Świat uznojone czoło krwawą rosą,
Pochyli przed ich cichym majestatem,
I gdy się ciemność wszędzie rozzuchwali,
Od ich promienia nowy świt zapali.

Władysław Bełza.

Obrazki ze świata.



Król Piotr w Rzymie.

W roku bieżącym przypada pięćdziesiąta rocznica zjednoczenia królestwa włoskiego. Z powodu tej uroczystości zapowiedział monarcha włoski, że głowy koronowane mogą mu składać wizyty tylko w stolicy monarchii, w Rzymie. Ale fakt zjednoczenia państwa włoskiego łączy się zarazem z faktem zagarnięcia Rzymu, który dawniej stał pod wyłączną władzą papieża. Od tego też czasu datuje się nieprzyjaźń Watykanu, rezydencji papieskiej, z Kwirynałem, rezydencją królewską. Stąd też papież na znak smutnej dla Kościoła pamięci zaboru Rzymu i wcielenia go do państwa włoskiego, oświadczył ze swej strony, że w roku jubileuszowym żadnych wizyt przyjmować nie będzie. W ten sposób pragnie papież zadokumentować, że zabór Rzymu był aktem bezprawia, na który Kościół do dziś dnia się nie godzi.

Że wpływ papieża jest jeszcze w całym świecie — mimo szerzącej się masoneryi — znacznym, na to mamy dowód w historii zamierzonej podróży cesarza Wilhelma niemieckiego do Rzymu. Cesarz złączonego z Włochami trójprzymierzem państwa miał tyle szacunku dla głowy Kościoła, że, szanując jego wolę, chciał się z królem Wiktorem Emanuelem spotkać w Wenecyi. Król włoski wolał tymczasem rzec się przyjemności oglądania oblicza Wilhelma II, obstając przy swoim, że przyjmuje w tym roku tylko w Rzymie. Stanęło ostatecznie na tem, że cesarz Wil-

helm nie pojedzie do Włoch wcale, a zastąpi go następcą tronu.

W ten sposób ma być według przysłowia naszego i „wilk syty i koza cała“

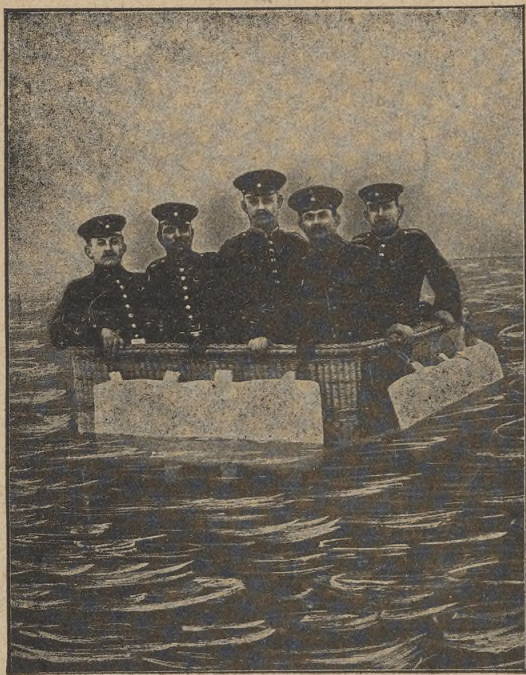
Podobnych skrupułów, jak cesarz Wilhelm II niemiecki, nie miał król Piotr serbski. Osoby jego nie wiąże coprawda z Włochami kruchy łańcuch trójprzymierza, lecz łączą go z dworem kwirynalskim więzy powinowactwa: córka króla Piotra, Helena jest, jak wiadomo, małżonką króla Wiktora Emanuela. Stąd podążył mo-

narcha Serbii z pierwszą swą wizytą zagraniczną skwapliwie do Włoch, a w Rzymie przyjmowano go bardzo owacyjnie i serdecznie. Król włoski cieszy się, że znalazł się ktoś, kto przyjechał go odwiedzić w stolicy, mimo życzenia i woli przeciwnika, mieszkającego w Watykanie, lecz byłby był z pewnością wolał, gdyby tym kimś był ktoś potężniejszy od jego teścia.

Pływający kosz balonowy.

Bardzo często zdarzają się wypadki, że wiatry zapędzają balon nad morze, a cała jego załoga ginie w falach morskich, o ile nie uda się jej dotrzeć do jakiego brzegu. W roku ubiegłym dopiero zdarzył się taki wypadek, że dwóch aeronautów niemieckich utonęło w pobliżu wyspy Rugii. Trzech innych żeglarzy napowietrznych znalazło śmierć w nurtach jednego z jezior meklemburskich, pokrytego cienką warstwą lodu zaszypanego śniegiem; żeglarze opuścili się tam w mniemaniu, że to łąka. Zginęli marnie, a dopiero po kilkunastu dniach szukania odnaleziono ich trupów i resztki balonu.

Nieszczęściom podobnym ma zapobiedz zaopatrywanie koszy balonowych w poduszki z „kapoki“, nitek owoców drzewa bawełnianego, które niemal wcale wodą nie naciągają. Próby wykazały, że podobne poduszki, nie obciążające zbyt balonu, utrzymały na powierzchni wody kosz, w którym znajdowało się 5 żołnierzy. „Kapoke“



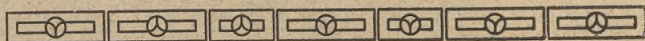
okazała się również dobrym materiałem do napełniania pierścieni bezpieczeństwa, używanych do ratowania tonących.

Pomnik na pamiątkę wygaśnięcia dżumy.

Dżuma, która obecnie w Azji porywa tysiące ofiar, grasowała w niemniej straszny sposób także



w Europie — przed laty. Przypominają nam to pomniki, stawiane tu i owdzie na pamiątkę wygaśnięcia tej strasznej zarazy. Obrazek nasz przedstawia taki pomnik, wystawiony w Wiedniu. Dzięki rozwojowi lecznictwa, urządzeń sanitarnych, większej czystości niebezpieczeństwo strasznych zaraz jest obecnie dla nas mniej groźnem.



Zdrowie w zimie.

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz!

Któż z nas nie doświadczył tego! Pielęgnowanie zdrowia uważamy przeto za najświętszy obowiązek życiowy. I słusznie! Tylko, że zbyt często niestety pod pozorem pielęgnowania i utrzymania zdrowia, rozpieszczamy ciało, nie pamiętając na to, że za rozpieszczeniem ciała idzie zniewieśnienie ducha.

W zimie, w naszym klimacie, najbardziej pozwalamy sobie na „rozpieszczanie” ciała, a co za tem idzie i na spaczenie ducha.

Co to jest „rozpieszczanie”? Czy w lecie mniej rozpieszczamy ciało, aniżeli w zimie? Tak jest. W lecie dni są gorętsze, a my, chcąc ciało do nich przyzwyczaić, ubieramy się lekko, wystawiamy je na przewiew wiatru bez obawy przeziębienia. Słowem, przyzwyczajamy ciała nasze do otaczającej je temperatury. Zimą inaczej. Tu limy się w ciepłe palta, futra, kalosze, szale itp., czyli chronimy ciało przed tym wpływem, do którego przyzwyczajając je powinniśmy. Jest to zupełnie coś podobnego, jak kiedy matka pragnie uchronić pieszczocha swojego od gorących lub mroźnych podmuchów życia, a chce mu zapewnić otoczenie ckiwo-letnie. Niedobre to zachowanie! pierwsza lepsza przeciwność zwarzy roślinkę w cieplarni wychowaną.

Indyanin Ameryki północnej nie narzeka wcale na mrozy, choć większe są one tam, niż u nas, a ubranie jego nie bardzo różni się od tego, w jakim pradziad nasz Adam udał się na wędrowkę po ziemi, gdy go z raju wypędzono. I każdy z nas, zobaczywszy Indyanina „arcyskromnie” ubranego na kilkunasto-stopniowym mrozie, zapyta się ze zdziwieniem: „i ten człowiek nie zmarznie?” — Nie. Tak samo nam nie zmarznie twarz, pomimo, że na mróz bywa wystawiana, a raczej dla tego, że do mrozu bywa przyzwyczajoną.



U stóp krzyża.

Indianin Ameryki północnej uważa zimę za najpiękniejszą porę roku. I słusznie — bo w tej porze czuje się on bardziej rzeźkim, żwawym, nie podlega tak łatwo zmęczeniu, jak podczas skwar- nego lata. A my?... Pomiedzy nami są i tacy, którym zimno jest w pokoju ogrzanym, przy na- palonym piecu. Czyż można dziwić się, że taki człowiek ulega łatwo zaziębieniom, skoro go tylko chłodny wietrzyk owieje?

Nie umiemy cenić naszej zimy, która bez- sprzecznie posiada dobre strony i wielkie zalety. Jedyna to pora roku, w której następuje się nam

sposobność do wzmocnienia naszego organizmu, do nabrania hartu i sił, potrzebnych w trudnej walce życiowej.

W zimie uwidatnia się najwięcej walka dwóch równych sobie przeciwników: zimna i cie- pła. Najbardziej obawiamy się, ażeby zimno atmosfery nie odniosło zwycięstwa nad ciepłem w ciele naszym; wyrażając się po prostu: obawia- my się zaziębienia. Niestety, zapominamy przy tem zazwyczaj, że jedynym najlepszym i najsku- teczniejszym środkiem przeciw zaziębieniu jest wytworzenie w ciele ciepła naturalnego za pomo-

ca ę ruchu, a względnie pracy na świeżem powietrzu.

Stara a niewzruszona prawda głosi, iż najpewniejszą ochroną przeciw zaziębieniu jest przyzwyczajenie do zimna. Czemuż o prawdzie tej zapominamy?...

Rodzice, którzy, chcąc dzieci uchronić od zaziębienia, obwijają je we wszelkie możliwe ciepłe ubrania, wyświadcza im bardzo, ale to bardzo złą przysługę. Młodzież powinna się uczyć marznąć, do czego znakomitą sposobność nastroczą w zimie ślizgawki, gry na śniegu, chodzenie po górach.

Im więcej młodzież używa ruchu w zimie w możliwie lekkim ubraniu, tem bardziej rozwija się cieleśnie, tem większego nabywa hartu i siły odpornej.

Ale i dorośli powinni strzedz się rozpieszczania ciała zbyt ciepłym ubraniem. Niechajże przynajmniej szyi pozostawia swobodę, nie obwijając jej grubymi chustami i szalami. Niestety, coraz więcej widzimy mężczyzn, którzy, wzorując się na modzie damskiej, sprawiają sobie kołnierze futrzane i zawieszają je około szyi. A właśnie dlatego najłatwiej się zaziębiają i gdy przypadkowo bez kołnierza wyjdą na zimne powietrze; to napewno wracają z katarem nosa, gardła lub krtani.

Nie tak łatwo zaziębiają się ci, którzy wogóle nie noszą żadnych futer, ale wyszedłszy na chłodne powietrze, biegają i poruszają się prędko. Przedewszystkiem powinniśmy w zimie pamiętać o należytem oddychaniu, znajdując się na świeżem powietrzu. Stanowi to poniekąd najtańszy środek ogrzewający, gdyż głębokiem oddychaniem pędzimy krew do najdalszego zakątka kończyn naszego ciała. Z tej też przyczyny nader donośne znaczenie dla zdrowia naszego ma tak przyjemna rozrywka, jaką jest łyżwiarstwo.

Specjaliści spierają się co do kwestyi, czy mróz tępi bakterye chorobotwórcze. Ale bez względu na zdanie uczonych, proste doświadczenie poucza, że w zimie powietrze jest czystsze, niż w lecie i że w czasie mroźnej zimy mniej chorób panuje, aniżeli jesienią lub wiosną. Dlatego też nie zaklejajmy okien na zimę kitem, watą lub papierem; przeciwnie, otwierajmy je często i wpuszczajmy przez nie czyste, suche powietrze. Nie obawiajmy się straty na opale, otwierając okna dosyć często, oszczędzamy paliwa, rzeczą bowiem dowiedzioną jest, iż czyste powietrze 6 razy prędejsz się ogrzewa i dłużej zachowuje w sobie ciepłotę, aniżeli użyte.

A zatem precz z przesadą i obawą, że ogrzany pokój zamkniętym być musi, choćby

przytem kłęby dymu tytoniowego i inne brudy ledwie oddychać pozwalały. Tylko śmiało!... odejmijmy kit i otwórzmy okna choćby na kilka minut. Zimny przewiew wymiecie zepsute powietrze i zastąpi je czystem, a wówczas dopiero przekonamy się, jak szybko i przyjemnie ogrzeje się powietrze w pokoju.

Przewietrzanie mieszkania zimową porą jest niezbędnie potrzebne. W sypialni powietrze trzeba ciągle odnawiać. Powietrze czyste to pierwszy warunek zdrowia. Nie wierzą widocznie w to ci, którzy urządzają sypialnię w najciaśniejszym, ale nieraz i najciemniejszym pokoju, do którego powietrze prawie wcale nie ma dostępu.

Kto obawia się w zimie chłodu i katarów niechaj chroni się przed nimi nie za pomocą ciepłego ubrania, szalów lub kołnierzy futrzanych, ale za pomocą zimnej kąpieli, albo codziennego nacierania całego ciała zimną wodą, a jeszcze lepiej świeżym śniegiem. Śnieg ten, to istny eliksir zdrowia. Nie drogi, dla każdego dostępny, ale trzeba korzystać z zimy, bo w lecie i za grube pieniądze dostać go nie można. Szkoda ogromna, że tak mało tych dni mroźnych a pogodnych, które odświeżają nie tylko ciało, ale i ducha. O ile je jeszcze mieć będziemy, pamiętajmy, że one zdrowsze aniżeli szaruga i zażywajmy świeżego powietrza wzmacniając tym zdrowie nasze. A wszakże nam specyjalnie wiele potrzeba sił do walki życiowej. Hart ducha nie opuszcza jedynie człowieka silnego fizycznie — starajmy się więc o oną siłę, abyśmy nigdy nie upadli, mimo udręczeń i niewoli.

Jak koń się orientuje.

W „Umschau“ podaje dr. Stefan Maday kilka ciekawych szczegółów co do orientowania się u koni. Zdaniem jego działają tu wszystkie zmysły. Oto jedno z jego własnych spostrzeżeń: Około dwudziestu jeźdźców jeździ pod komendą oficera na ujeżdżalni tak zw. wielką turę, o średnicy mniej więcej 30 m. Nauczyciel stał początkowo w środku koła; po pewnym czasie znajduje się już przy jego obwodzie choć się wcale z miejsca nie poruszył. Spostrzega to i idzie znów na środek. Ta sama historia powtarza się co 10 minut. To koszary przyciągają konie jak magnes, przy każdym okrażeniu zbliżają się o parę metrów i tak wędruje całe koło z szybkością 15 m. na 10 minut tj. 90 m. na godzinę.

Dr. Maday opowiada również o kilku doświadczeniach robionych specjalnie w celu zbadania zdolności do oryentowania się u koni. Píše on: „Moje próby polegały na tem, iż stale wracając ze spaceru do koszar puszczałem koniowi wolno cugle w miejscu dość jeszcze oddalonym od domu i pozostawiałem mu zupełną swobodę.

Różnice indywidualne są bardzo znaczne. Jeden koń trafi prosto do domu zaraz przy pierwszej próbie choćby w nocy; inny potrzebuje na to parutygodniowego ćwiczenia. Najbardziej pouczającymi były doświadczenia z węgierską kłaczą półkrwi „Fatimą“. Skoro tylko puściłem jej cugle, wracała się kawałek nazad, by przejść znów tę samą drogę, którą już raz odbyła. Następnie drogę skracała, unikając rozmaitych objeżdżań; gdy nas np. dzieliła od koszar rzeka, obierała kierunek ku mostowi. Już czwartego dnia nauczyła się, że każda droga prowadzi do miasteczka i że byle szła jakąś bródą, to dojdzie do drogi. Co do tego znalazła sobie sposób, który później zawsze z powodzeniem stosowała. Doszedłszy do gościńca spuszczała nos ku ziemi, by się przekonać, czy droga wykazuje zapach ludzi i koni. Następnie zostawała jeszcze trudność, w którą stronę prowadzi droga do miasta. Fatima stała parę sekund, a potem zgadywała, czy iść na prawo czy na lewo i szła w obranym kierunku. Wprawdzie „zgadywać“ jest pojęciem czysto ludzkim, ale sposobu, w jaki Fatima oryentowała się w tym wypadku, nie można lepiej określić żadnem słowem.

W mieście znów nie rozpoznawała żadnego domu, żadnej ulicy. Próbowwała wchodzić do każdej bramy, obwąchiwała ją, bez względu na to, jak była pomalowana, i często chciała wchodzić na obce podwórza, gdzie były stajnie. Przed jednym obejściem, które miało pewne podobieństwo z koszarami, stała dłuższy czas i namyślała się, czy to jest jej dom. Czasem znów zablądziła do wsi sąsiedniej i chciała tam koniecznie znaleźć koszary. Przeszkód fizycznej i duchowej natury unika, o ile to tylko możliwe; obchodzi więc rowy, kolej, szczekające psy itp.; przyłącza się niekiedy do innych koni, zatrzymuje się i węszy koło kup nawozu, także chciałaby się chwilę popaść na łące; tak wciąż urządza kompromisy ze swymi rozmaitymi popędami“.

Autor dochodzi do ostatecznego wniosku, że koń przy rozwiązywaniu swego zadania, posługuje się wszystkimi zmysłami, prócz smaku. Byłoby też całkiem nienaturalnem, dlaczegoby zwierzę miało zrezygnować z używania tego lub owego zmysłu, przy wykonywaniu tak trudnej dla niego

pracy, jak wyszukanie jakiejś miejscowości. Prawdopodobnie rzecz ma się tak samo i u innych zwierząt, dlatego można uważać jako fałszywe wszystkie hipotezy, które twierdzą, że zwierzę używa tylko jednego zmysłu (np. powonienie) dla odszukania drogi. U konia w trakcie oryentowania łatwo spostrzedz pracę trzech zmysłów: słuchu, wzroku i dotyku; nastawia uszy, ogląda się wciąż naokoło, by rozpoznać raz widziane punkta; kopytem stwierdza, czy idzie po twardym gościńcu, kamienistej drodze polowej, czy po miękkiej łące, tylko rola zmysłu powonienia jest jeszcze w części niewyjaśnioną.

Nasze ilustracje.

U STÓP KRZYŻA. Biedna znękana niewiasta, którą widocznie boleść aż w puste pola zagnała, padła pod krzyżem na kolana i błaga zlitowania i pociechy. Prośba jej musiała być szczerą, bo jej Pan Bóg zsyła ukojenie przez anioła, który jej szepce serdeczne słowa otuchy i dodaje sił do znoszenia cierpienia.

SPOWIEDNIK. W celi zakonnej odbywa się oczyszczenie duszy z grzechów. Zakonnik spowiada się przełożonemu swemu z błędów, które popełnił i prosi zlitowania i przebaczenia, aby z czystym sumieniem mógł dalej służyć Bogu.

KAZANIE W GÓRACH. Widzimy tutaj, że o ile lud gorliwą odznacza się wiarą, to nie ulęknie się przeciwności i bodaj w górach, pod gołem niebem słucha nauk pobożnych, o ile niema kościoła, w którymby mógł się zgromadzić i słuchać kazań.

Kalendarzyk historyczny

od 5 do 11 marca.

5. Rozwiązanie Konfederacji Radomskiej 1764 r.
6. Zwycięstwo nad Tatarami u Skorowodka 1577 r.
7. Niszczenie posągów pogańskich w Polsce 965 r. — Śmierć Wincentego Kadłubka 1223 r. — Mieczysław król polski znosi bałwochwalstwo 966 r.
8. Pierwszy Sejm Wiślicki 1347 r. — Langiewicz dyktatorem 1863 r.
9. Pokój między Zygmuntem III i cesarzem Rudolfem 1589 r.
10. Rozdarowanie królewsczyzn przez Katarzynę II 1796 r. — Bitwa pod Myszyniec 1863 r.
11. Śmierć Stanisława Koniecpolskiego 1646 r.

Łamigłówka do nagrody

Krzyż magiczny.

(Ułożył Wł. M. z Z.)

		I	I + 2			
		II	3 + 4			
		III	5 4 + 6 2			
IV	7	2	5 2 + 8 9 9 2			
V	2	10 8	11 + 5 2 12 13			
		VI	8 13 + 8 14			
		VII	15 + 16			
		VIII	13 + 14			
		IX	4 + 2			
		X	17 + 4			
		XI	18 + 9			
		XII	8 + 2			
		XIII	13 + 16			
		XIV	6 + 14			
		XVI	21 2 + 15 17			
		XVI	7 4 14 9 + 8 14 17 13			
		XV	2 18 2 13 + 4 19 17 8			
XVIII	2	7 21 6	4 22 + 4 14 12 23 6 16			
XIX	22	12 24 2 19 13 + 17 25 8 6 11 16				

Litery oznaczone pośrodku figury krzyżykami, a czytane z góry na dół, utworzą imię i przydomek króla-bohatera polskiego.

Przy zastępowaniu cyfr literami, należy pamiętać, że dla ułatwienia zadania rozwiązującym, cyfra raz użyta, powtarza się, ile razy w innym wyrazie oznacza tę samą co poprzednio literę.

Znaczenie wyrazów.

1) Liczebnik. 2) Podatek od towarów. 3) Rzeka we Francji. 4) Szczyt Pirenejów. 5) Król Sparty. 6) Miasto przemysłowe w Niemczech. 7) Jeden z trzech rodzajów zębów. 8) Ważny dopływ Wisły. 9) Zaimek. 10) Imię biskupa polskiego z rodziny świętych. 11) Ptak domowy. 12) Okres czasu. 13) Marzenia śpiącego. 14) Zwierzę krajów północnych. 15) Zabawa dziecinna z mydła i wody. 16) Przejście w Alpach. 17) Plemię indyjskie, a zarazem nazwa bandytów w Paryżu. 18) Dwa imiona męskie, kończące się na y. 19) Nazwisko i imię współczesnego poety polskiego, autora głośnych powieści fantastycznych. „Z.”

Dokładne rozwiązanie łamigłówki prosimy nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do 9 marca b. r. na ręce redakcji.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadesłały rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. II.

Rozwiązanie

Łamigłówek zaamieszczonych w nr. 7.

I. *Matematyka.*

II. *Port—trop.*

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z *Galicji:*

pp. Felicja Brachłówna, Józef Cholewik, E. Franz, Emil Gruszecki, Marya Hoszowska, W. Hyla, Helena i Marya Koczvara, Otylia Kostańska, Stefania Kosturkiewiczówna, Helena Królicka, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Wanda Misiewicz, Boł. Natorski, Świerkosz, Józefa Steindl, Józef Pieszczocho, Natalia Szczepańska, Kazimierz Szeliga, M. Szewczyk, Walerya Tatara, J. Wilusz, Anna Welnianka, Adela Wiszniewska, Jan Witkowski.

Nagrodę otrzymają:

1) Agnieszka Błaszczuk z Seichwitz (G. Śląsk), 2) Helena Kołaczowska z Trzemeszna, 3) Julian Krzysztofowicz z Chodorowa (Galicja), 4) Paweł i Ewa Raasch z Kamienicy (Pr. Zach.)

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, przysyłali rozwiązania łamigłówek **tylko na pocztówkach.**

OBOWIĄZKIEM

każdego jest, dbać o zdrowie osoby własnej i rodziny. Trzeba zatem każdej powstający kaszel, katar itp. natychmiast usunąć za pomocą zalecanego przez lekarzy i smacznego środka

Thymomel Scillae.

Środka tego używa się także przy kokluszach z najlepszym skutkiem.

Fabryka i skład główny w

APTECE B. FRAGNERA,

c. k. dostawca.

Praga-III Nr. 203.

Proszę poinformować się u lekarza.

1 butelka **2.20 kor.**, franko pocztą za poprzednim nadesłaniem **2.90 kor.**, 3 butelki za poprzednim nadesłaniem **7.— kor.**, 10 butelek za poprzednim nadesłaniem **20.— kor.**

Baczność na nazwę preparatu, fabrykanta i znaczka ochronnego.



Do nabycia w aptekach.

W Krakowie w aptekach M. Masłowskiego, M. Rедера, K. Wiśniewskiego.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

DZIECIĘ Z ULICY. POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Każdy początek jest trudny, moje dziecko, ale nie płacz, złe przejdzie także. Cieszę się, że mi ciebie oddano pod opiekę, miej tylko trochę dobrej woli, a urządzimy się jak najprzyjemniej.

Ferra spojrzała na nią. Chuda twarz starej panny, która ją z początku trwogą przejmowała, wyglądała teraz zupełnie inaczej, miała wyraz serdeczności i szczerości, to wystarczało zupełnie, aby Ferra natychmiast odzyskała swoje wesołe usposobienie.

Zanim się panna Klara spostrzegła, już była w objęciach młodej dziewczyny, która, mając oczy jeszcze łez pełne, już się śmiała i wołała:

— Ach, więc będziemy się bawić! Jestem bardzo wesoła, a już miałam obawę, że się tutaj śmiać nie wolno.

IV.

Dwa tygodnie upłynęły od tego czasu; dla Ferry były to dni nudne i jednostajne. Nie wychodziła na miasto, ani Achil nie kazał jej przyjść na górę. Myśl o tej młodej dziewczynie była mu nieprzyjemna, to też starał się, o ile możliwości, zapomnieć o niej.

Inaczej działo się z Anatolem.

Widział Ferrę tylko raz jeden, w dniu jej przybycia, Ferra ledwie go zauważyła, ale to jednorazowe widzenie wystarczało, aby nim obraz Ferry zawładnął tak, że ledwie nie stracił wszel-

kiego panowania nad sobą. We śnie i na jawie widział ciągle tę wdzięczną postać i gniewał się na Achila, że wcale o nią nie dba. Codziennie chodził po kilka razy na marmurowe wschody, wiodące z dolnych pokoi na pierwsze piętro, z gorącym życzeniem, aby ją choć na chwilę mógł ujrzeć. Napróżno! Nic nie przerywało ciszy w długich korytarzach, drzewa i kwiaty na wschodach stały nieporuszone; nawet Achil, nie mając pojęcia o jego uczuciach, był głuchym na wszelkie uwagi, jakie Anatol mu robił.

Pewnego dnia urządzał Achil małą kolacyą, na którą byli zaproszeni tylko najserdeczniejsi przyjaciele. Anatol naturalnie należał także do nich, a zarazem chciał się także pożegnać, był bowiem mianowany przez ministra posłem do jednego z sąsiednich dworów i miał wyjechać za kilka dni.

Kolacye u księcia Achila bywały zawsze bardzo wesołe, wyborne potrawy, doskonałe wina i świetne towarzystwo paryskiej złotej młodzieży. Dawniej był Achil duszą tego kółka, miewał najweselsze i najszałejsze pomysły. Z biegiem czasu jednakże zaszła wielka zmiana w jego usposobieniu.

Z początku nie zważano na to, ale gdy później i zdrowie zaczęło mu nie dopisywać, żalowano go ogólnie. Nikt się też nie dziwił, że gospodarz domu siedział blady i zmęczony, z głową

opartą o poręcz krzesła, z opuszczonemi niedbale rękami, jak gdyby te białe, delikatne ręce zupełnie już były bezsilne. Zresztą było wszystko tak, jak dawniej — i to gościom zupełnie wystarczało.

Kolacya miała się ku końcowi, podano już deser. W kosztownych, srebrnych wazonach porczywały kwiaty wędznąć i wydzielaly tem silniejszy zapach; blask światła odbijał się w kryształowych zastawach na stole; krople szampana drżały i szumiały w płaskich kielichach, gorąco i duszno było w salonie.

Goście zamierzali wstać od stołu, serwety leżały w nieładzie na krzesłach i na dywanie; wszyscy czekali tylko dokończenia jakiejś zajmującej historyi, którą jeden z panów opowiadał.

Księżę Arbanow nie lubił, aby kawę podawano przy stole w sali jadalnej. Przeznaczył na to inny, mały salonik, który mu dawniej służył za pracownię. Był to ośmiokątny pokój, ściany miał pokryte wytłaczaną w deseń skórą i bardzo kosztowne urządzenie. Ogień na kominku, prawie wypalony, pozostawił żarzące się węgle — w saloniku było więc dosyć ciemno. Na środku znajdował się olbrzymi stół, na nim wielka srebrna taca, na której pomiędzy małemi filiżankami z kawą stały rozmaite buteleczki z likworami w pięknych złożonych koszykach.

Obowiązkiem gospodyni było dopilnować, aby się wszystko znajdowało w porządku, tak napoje, jak i cała zastawa i zwykle panna Klara sama się tem zajmowała. Dziś jednakże, czując się trochę niezdrową, posłała Ferrę na górę, wiedząc, że jeszcze nikt jej tam spotkać nie może.

Młoda dziewczyna ustawiała krzesła i filiżanki i starała się wszystko jak najładniej urządzić. Gwar i hałas w sali jadalnej dochodził do jej uszu przez zamknięte drzwi zaledwie jak słaby szelest, to też, czując się zupełnie bezpieczną, wyjmowała z koszyków butelki i obracając je do światła, przyglądała się zawartym w nich płynom. Były tam likiery różnego koloru: zielone, żółte, białe, a że butelki były otwarte, rozchodziła się od niektórych bardzo przyjemna woń. Ferra nigdy jeszcze likieru nie piła i nie mogła się oprzeć pokusie. Była sama w pokoju — nikt jej nie widział — jedna kropelka z tej małej flaszeczki nic jej przecież nie zaszkodzi. Chwilkę jeszcze namyślała się — w końcu ciekawość zwyciężyła. Wziawszy jeden z maleńkich kieliszków, napełniła go z wolna żółtą, jak złoto Chartreus'a i dotknęła go lekko różowemi ustami.

Jak wybornie smakowało! Piła kropelkę po kropelce, aż wypila wszystko, i tak była zajęta,

że nie słyszała, jak się za nią drzwi uchyliły — i Leroy stanął na progu.

Ujrawszy Ferrę z próżnym kieliszkiem w rękę, uśmiechnął się i zamknawszy szybko drzwi, zbliżył się do niej i położył rękę na jej ramieniu.

Ferra obróciła się i wydała okrzyk przerażenia, ale podczas kiedy na widok Achila byłaby się uczuła mocno zawstydzoną i zakłopotaną, ujrawszy Anatola, zmarszczyła brwi i gniewnie spojrzała na niego.

— Pierwsza próba — rzekł zartobliwie — powiedz mi pani, jak ci smakowało?

— Przykro mi bardzo — odparła Ferra — że mnie pan przy tem zastałeś.

— Jestem bardzo wyrozumiałym dla moich dobrych przyjaciół — rzekł Leroy z uśmiechem — Zresztą, moja pani, ten tylko jest nierozsądnym, kto się nie stara uprzyjemnić sobie o ile możliwości życia.

Ręka jego zsunęła się z jej ramienia i objął wpół jej wysmukłą postać.

— My przecież żyjemy w przyjaźni, Ferro — rzekł, i zbliżył usta ku jej twarzy.

Z iskrzącemi oczyma odepchnęła go dziewczyna.

— Mylisz się pan — zawołała. — Żyję wprawdzie z łaski księcia Arbanowa, ale dla tego nie masz pan prawa obrażać mnie.

— Ja też pani bynajmniej obrazić nie chciałem — odrzekł szybko, zmieniając głos i biorąc jej rękę. — Bóg mi świadkiem, że nie, ale oczy pani zawróciły mi głowę.

Przytem nadśluchiwał z natężeniem na gwar, dochodzący z sali jadalnej. Gdyby tak w tej chwili wszyscy tu weszli! Gdyby ujrzeli Ferrę, gdyby ją podziwiali — jakby mu to ułatwiło osiągnięcie jego celu:

— Nie żartuj pan — odrzekła Ferra surowo i chciała mu wyrwać swoją rękę. — Proszę mnie dłużej nie zatrzymywać, aby mnie reszta towarzystwa tu nie zastała.

— A dla czego nie chcesz pani pokazać się? — zapytał Leroy. — Doświadcz przynajmniej raz całej potęgi swej piękności, zanim ci więzy nałożą.

— A któż to zamierza uczynić?

— O, nasz dobry Achil i panna Klara!

Anatol mówił znów zimnym, obojętnym głosem, puścił nawet jej rękę i machinalnie posuwał krzesła. Ferra patrzyła na niego z zdziwieniem. Nie przeczuwała, że pod tą pozorną obojętnością miały nim dzikie namiętności — nie przeczuwała, że z natężeniem wszystkich sił słuchał rychło drzwi się otworzą, że nareszcie zdawało mu się, że już idą — i...

Drzwi się z łoskotem otworzyły i całe towarzystwo stanęło w pokoju. Patrzeli najpierw z zadziwieniem, milczeli — potem z ciekawością zaczęli się zbliżać. Pojedyncze okrzyki, przytłumione, ale pełne uwielbienia, odbijały się o uszy Ferry. Myślała, że ziemia się pod nią rozstąpi. Palące uczucie wstydu opanowało ją całą, nie śmiała się ruszyć z miejsca, ani oczu podnieść.

— Dziękuję ci, moje dziecko — szepnął Achil słabym głosem, który w tej chwili brzmiał jak zbawienie — dla niej niczego więcej nie potrzeba, wszystko jest w porządku.

Ukloniła się i wyszła. Ruchy jej były pełne wdzięku, pomimo, że była niezmiernie zalekniona i onieśmielona. Wyszedłszy z pokoju, przycisnęła obie ręce do głowy i pobiegła na wpół nieprzytomna na koniec długiego korytarza, gdzie rozmaite rośliny i kwiaty tworzyły małą altankę.

W pokoju posypało się tysiące zapytań.

— Co to za piękność?

— Czyś chciał nam tym żywym obrazem urządzić niespodziankę?

— Szkoda, że odeszła!

— O ty stary grzeszniku!

— Kto ona jest?

— Każ jej przyjść, choćby tylko na chwilę!

Achil zasypany pytaniami, uśmiechał się zmęczony i poruszał głową przecząco.

— Wszystkie wasze przypuszczenia są mylne — odrzekł w końcu. — Ferra jest moją przybraną córką. Nie życzę sobie wcale, aby ją kto widział, aby się kto do niej zbliżał.

— Samolub!

— Powierzyłem ją mojej starej gospodyni i jest pod moją opieką.

— Skąd ją masz?

— Ona jest cudownie piękną!

I znowu następowało mnóstwo pytań.

— Anatol wam wszystko opowie, gdzie jest Anatol?

Ale wicehrabiego nie było w salonie i Achil musiał sam męczyć się opowiadaniem.

Tymczasem Leroy, wiedziony instynktem, odszukał Ferrę w małej altance.

— Mój Boże, czego pan chcesz odemnie? — zawołała młoda dziewczyna, ujrawszy zbliżającego

się ku niej Anatola. — Wstała, chcąc odejść, ale Leroy zatrzymał ją.

— Dla czego pani uciekasz przedemną? — rzekł do niej.

— Nie uciekam — odpowiedziała Ferra i zarumieniona usiadła na małą, czerwoną, aksamitną kanapkę, stojącą w głębi altanki.

— To, czego ludzie unikają — zaczął znowu Leroy — tego się też obawiają. Ale pani nie obawiasz się mnie, prawda?

— O nie! — szepnęła Ferra.

— W salonie jest imię pani obecnie wymawiane przez wszystkich!

— Okropność, że mnie tam spotkano!

— Dla czego? Nie znasz pani jeszcze swej potęgi, a jest ona wielką i niebezpieczną. Goście księcia umieją ją lepiej ocenić, zresztą Achil opowiada właśnie o pani...

— Czemu? — zawołała gwałtownie i przygryzła usta. — Czy to konieczne, aby każdy wiedział, czem byłam?

— Achil jest pod tym względem innego zdania — odparł Leroy szydłczo. — Jutro będą panią podziwiali jeszcze więcej, ale naturalnie w inny sposób i pocziwego Achila także. Czy pani rozumiesz?

Zerwała listek z drzewa i zgmiotła go w palcach. Gniew poczynął się w niej budzić.

— Księżę ma wszelkie prawo robienia zemną, co mu się podoba — rzekła — muszę być zadowoloną z wszystkiego.

— O Ferro! Czy tak nisko cenisz swoją piękność? — zawołał Anatol. — Nie ma tu ani jednego, któryby ciebie nie podziwiał, nie ubóstwiał, gdybyś tylko chciała!

— Czemu mi to pan tak często powtarzasz?

— Dla tego — no — dla tego — znów położył rękę na jej ramieniu i zbliżył się do niej. Z wstrętem odsunęła się od niego.

— Ha! mała — zawołał i schwycił ją silnie za rękę; wino i bliskość Ferry odebrały mu resztę przytomności — masz ostre pazurki, ale strzeż się! Musisz być moją, choćbym to życiem przypłacił, bo kocham cię!

Nie odrzekła ani słowa; milcząc, z zaciśniętymi zębami, usiłowała wydobyć się z jego objęć.

Ciąg dalszy nastąpi.



ZA WINY OJCÓW.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

U profesora Monbois w Vevey, u którego brałam lekcye muzyki, robiłam wielkie postępy. Monbois był stary, surowy, nieublagany, zwolennik klasycznej muzyki, przytem rzeczywiście sumienny nauczyciel, był on dumny ze mnie i stawiał zawsze jako wzór innym uczniom i uczennicom; na rozmaitych wieczorkach, które urządzał u siebie, stawał mnie zwykle na pierwszym miejscu i kazał mi grać najtrudniejsze rzeczy. Czułam też coraz to więcej, że muzyka, to mój najlepszy żywioł; przy fortepianie zapominałam o wszystkim i gdyby mi pozwolono, byłabym mogła całe godziny przepędzić przy mojem najulubieńszem zajęciu.

Pewnego dnia, gdy byłam na lekcji u pana Monbois, opowiadałam mu jednym z dzieł pewnego młodszego kompozytora, które grała Dolores, i które mi się bardzo podobało. Ponieważ Monbois go nie znał, a melodia ta była ładną, przeto zaśpiewałam mu kilka taktów.

Monsieur Monbois zdumiał, cofnął się, spojrzał na mnie uważnie, i zawołał potem żywo:

— Czy pani często śpiewa?

— Ach nie — odrzekłam dosyć obojętnie — czasem tylko, jeżeli na pensji śpiewamy chórem. Pomagam wtedy zwykle. Myślę, że śpiew, to cudowna sztuka, ale madame mówi, że jestem jeszcze do tego za młoda i mogłabym stracić głos.

— Słusznie, słusznie — zawołał Monbois gorliwie. — Szkodzić sobie, stracić głos! Bo która nauką śpiewu? Ale prosiłbym panią o małą próbkę, to nic nie zaszkodzi — pójdź tu, miss Doro, i śpiewaj: do re mi fa sol la si.

Uczyńłam naturalnie tak, jak sobie tego życzył i dziwiłam się sama nad siłą i dźwiękiem mego głosu.

— Nie umiesz pani jakiej piosenki na pamięć? — pytał Monbois dalej. — Może łatwej, zwyczajnej piosenki ludowej! Śpiewaj śmiało, moje dziecko, ja ci będę towarzyszył na fortepianie.

W tej chwili nie mogłam sobie nic innego przypomnieć, jak ową odwieczną piosenkę „dawno już dawno”. Śpiewałam więc ją; na pensji słyszałam ją też często, była to ulubiona piosenka Stelli, która posiadała słodki miły głosik i bardzo śpiewać lubiła. Monsieur Monbois uderzał pojedyncze akorda, poruszał niespokojnie głową i wy-

glądał, jak ktoś, walczący z ważnem, wielkiem postanowieniem.

I gdy słończyłam, wstał od fortepianu, złożył mi głęboki ukłon, tak że siwe jego włosy na czoło mu spadły, i rzekł głosem uroczystym i drżącym z wzruszenia:

— Dobrze, miss Doro Paoli! Jeżeli nie posiadasz jednego z najpiękniejszych głosów, jakie mi się w ciągu mego długiego życia i mojej długiej praktyki zdarzyło słyszeć, i jeżeli — ma się rozumieć, po długiej i pilnej nauce — nie staniesz się za jakie sześć lat wielką, sławną artystką, to nie chcę się nazywać Jean Baptiste Monbois!

Po tych słowach nastąpiła długa pauza. Ja patrzałam osłupiała na proroczego nauczyciela, i zapytałam w końcu cicho i nieśmiało, czy on sobie ze mnie żartuje tylko?

Ciemne jego, małe oczy, zabłysły gniewem.

— Żartować? Ja? I to w rzeczy, którą uważam za świętą? Co sobie myśli miss Dora Paoli o Jeanie Baptiste Monbois? Ja, który nie znam nic wznioślejszego, nad sztukę, ja, który o niczem wyższem nie marzę, jak o pozyskaniu kapłanki dla tej uwielbianej sztuki, i gdy ją teraz znalazłem — młodą, piękną, uzdolnioną, ja miałbym żartować?

— Ach, monsieur Monbois, nie gniewaj się proszę — szepnęłam, chwytając rękę zacnego człowieka. — Ja myślałam, ja byłam pewną — bo przecież nie mogłam przeczuć — i nikt mi nie powiedział — zawsze tylko chwalono moją grę na fortepianie, ale o głosie?...

Monbois uściśnął serdecznie moją rękę.

— Twoja gra na fortepianie! O tak, tę słyszał każdy, i chwalono ją słusznie, ale o tym pięknym, zachwycającym głosie nie mógł nikt mieć wyobrażenia, bo nikt go nie słyszał, bo nie mógł się uwydatnić w chórze. Jesteś moją dobrą uczennicą, najlepszą nawet — twój talent do muzyki jest taki, że za kilka lat, jeżeli się bardziej poświęcisz sztuce, mogłabyś być świetną pianistką! Ale — kształć się lepiej w śpiewie, a będziesz wielką artystką — pamiętaj, co mówię, wielką artystką!

Przestał mówić, aby nabrać tchu, i ja milczałam także. W oczach mi ciemniało, serce było gwałtownie — czułam, że twarz moja staje się czerwoną, jak ogień.

Pan Monbois patrzył na mnie uważnie, jak gdyby mnie widział po raz pierwszy w życiu.

— I ta postać! Ta twarz! Jak stworzona na estradę koncertową, a więcej jeszcze na scenę! Może się mylę, ale zdaje mi się, że przyroda obdarzyła cię też darem dramatycznym, pragnąc z ciebie uczynić pierwszorzędną gwiazdę na niebie sztuki! Ale przede wszystkim cierpliwości, miss Doro, i troskliwego czuwania nad tym drogo-cennym skarbem! Jesteś jeszcze bardzo młodą, twoje wątłe zdrowie nie wytrzymałoby teraz męczącej nauki. Zacznij dopiero za dwa lub za trzy lata! Ach! Boże! Za dwa lub za trzy lata już cię tu nie będzie, i kto inny, a nie biedny Jean Baptiste Monbois, będzie miał szczęście kształcenia tego głosu! Tego głosu! Ale przez ten czas, mój klejnocie, nie nadwerężaj go, na miłość Boską, nie nadwerężaj go. Raz po raz małą piosenkę, codziennie jedną gamę, i tu — z tego zeszytu ćwiczenie, uważając bacznie na drukowane uwagi, to chwilowo wystarczy! Daj mi uroczyste przyrzeczenie słuchania mej rady, i strzeż troskliwie tego skarbu, tego bożego skarbu, jakim cię niebo raczyło obdarzyć.

Stary, żwawy człowiek był prawdziwie wzruszony, jakże nie miałam wypełnić jego życzenia? Zmieszana, nawpół przytomna, pożegnałam go nareszcie, ponieważ nowa uczennica już przyszła, i trzymając włoskie ćwiczenia Vaccai w rękę, udałam się z powrotem do domu.

Wszystko, co kiedyś czytałam i słyszałam o sławnych artystkach-śpiewaczkach, przesunęło się bezładnie po mojej głowie. Tryumfy takiej Henryetty Sonntag, takiej Malibran, Catalani, wszystko to przyszło mi teraz na myśl, wyobrażałam sobie, jak je zasypywano laurami, kwiatami i kosztownymi darami wszelkiego rodzaju, jak zachwycona publiczność przyklaskiwała im z uniesieniem, wyprzęgała im konie, i wiozła do domu — jak książęta i królowie składali hołdy tym artystkom, i ubiegali się o jeden ich uśmiech — jedno spojrzenie — i ja — Dora Paoli, miałam kiedyś może doznać podobnego szczęścia! Olśniona, upojona, podniosłam oczy i spojrzałam na moje ukochane góry. Stały one wielkie i spokojne, skąpane w promieniach słońca, to znowu otoczone cieniem, a zawsze dumne, wyniosłe, zawsze ku niebu zwrócone. I czułam się maluczką i lichą w moich śmiałych marzeniach o szczęściu i sławie. Kto wie, czy stary, pocziwy Monbois nie przesadził trochę przez przyjaźń dla mnie? A chociażby nawet tak w istocie było, jeżeli Bóg obdarzył mnie takim skarbem, to któż mógł zaręczyć, że będę miała tyle cierpliwości i wytrwa-

ści, a nawet okazyi tylko, wykształcenia się na artystkę? Czyż moja babka, nielubiąca tak bardzo muzyki, pozwoli mi na zawód artystyczny? A zresztą w dwóch — trzech latach, ileż to zmian może zajść! Przyszły mi na myśl wszystkie marzenia Stelli i moje — była to przyszłość pełna świetności i szczęścia, ale z sztuką i sławą nie miała nic wspólnego!

Z całą sprężystością moich szesnastu lat wróciłam z krótkiego upojenia znowu do rzeczywistości; porzuciłam myśli o Henryecie Sonntag, Malibran i Catalani, i pocieszyłam się tą rozsądną nadzieją, że na takie olśniewające marzenia o sławie i wielkości będzie czas wtedy, gdy zacznę się na dobre uczyć śpiewać, i głos mój dojdzie do najwyższej doskonałości.

Że wtajemniczyłam Stellę w dziwne odkrycie pana Monbois, to było zupełnie naturalnem, tak samo, jak i to, że wieczorem tegoż jeszcze dnia wiedziała o tem cała pensya, Stella bowiem nie mogła pojąć, dla czego nie opowiedzieć wszystkim o „tak cudownej rzeczy!“ Musiałam więc wobec wszystkich pensyonarek zaśpiewać raz jeszcze „Dawno, już dawno“ i zostałam nieomal zaduszona pocałunkami i pieszczotami koleżanek. Wołano, że śpiewam bosko, i że jest okropnością, grzechem, zbrodnią, że dopiero teraz to wyszło na jaw, że mój przydomek „czarnooka blondynka“ jest za długi, że muszę dostać nowy, że nie trzeba długo szukać, że takie słodkie, miękkie tony, jakie ja mam, posiada tylko słowik! Zostałam więc uroczystie przechrzczoną, i odtąd nazywano mnie „słowikiem“. W pokoju naszym był wielki hałas, tak, że mademoiselle Anne przyszła zobaczyć, co się dzieje; naturalnie i ona musiała wysłuchać opowiadania o tym ważnym wypadku; a gdy oznajmiła, że monsieur i madame zażądają też zapewne usłyszeć nowego słowika pensyi, przeto zaprowadzono mnie na dół nieomal przemocą i w salonie madame, musiałam — po raz trzeci dziś — zaśpiewać „Dawno, już dawno“.

Madame rzekła, że śpiewam ślicznie, a monsieur zapewnił gorliwie, że potwierdza zachwyt mego nauczyciela i również jego rady.

Poczem zawiedziono mnie znowu do góry, miałam już teraz pewien przedsmak mały à la Malibran i Catalani.

Prawie pół nocy spoczywałam z otwartemi oczyma, a gdy nareszcie usnęłam, śniłam o wawrzynach, — olbrzymich wieńcach z kwiatów i grzmiących oklaskach publiczności.

O! szczęśliwe, rozkoszne chwile! Jasne gniazdo mego wspomnienia!

VI.

Dwa lata przeszły od owego dnia, w którym mnie ciotka Gina przywiozła do wili Bellevue, dwa wesole, szczęśliwe lata! Byłam obecnie wysoką, może nieco za szczupłą panną, która się ubierała w długie, kosztowne suknie i włosy po długi ostatniej zaczesywała mody, która grała dobrze na fortepianie, umiała wiele innych rzeczy i uważała się za zupełnie dorosłą, wielką osobę, chociaż zdarzało się często, że owa dorosła, wielka osoba była szalenie roztrzępaną i zachowywała się tak dziecinnie, że madame Beaumont groziła jej palcem i z uśmiechem dobroci, a pozorną surowością w głosie, zapytywała poważnie:

— Doro, Doro, czy to wypada tak się zachowywać młodej dziewczynie, która w tych dniach ma przystępować do Komunii św.?

Tak, ten poważny akt miał się wkrótce odbyć, Stella przystępowała już w roku zeszłym do komunii św., a ja dotąd jeszcze nie wiedziałam, czy moja babka przybędzie i co postanowi uczynić ze mną na przyszłość. Madame Beaumont otrzymała list od babki, z poleceniem sprawienia mi kilku nowych sukien, „reszta załatwi się później“, takim było zakończenie dość krótkiego jej listu.

Za tydzień miała się odbyć owa uroczystość, a dotąd nic nie było załatwionem!

Stella była zachwyconą moimi nowymi, pięknymi sukniemi i prosiła mnie, aby mi ta niepewność nie sprawiała przykrości.

— Bo widzisz, słowiku, najpierw nic ci to nie pomoże, nie możesz nic zmienić, chociaż się martwisz i dręczysz, a powtóre mnie się to podoba, jeżeli nie wszystko idzie, jak po sznurku, co jest czasem okropnie nudnem. Jestem mocno przekonana, że twoja tajemnicza babka odbierze cię wkrótce z pensyi i tak też być powinno, bo przecież nie możesz być wiecznie pensyonarką, a ponieważ za cztery tygodnie wyjeżdżam do Paryża, aby ożywić dom mego drogiego wuja, więc dłuższy twój pobyt na pensyi byłby zupełnie zbędnym, bo cóżbyś tu robiła bezemnie?

Czułam, że moja „królowa“ ma słuszość, a gdy spojrzałam w jej promienne oczy, przejęła mnie myśl o naszym bliskim rozstaniu się z takim smutkiem, że odwróciłam się i nie chcąc wybuchnąć głośnym płaczem, milczałam.

— O! ty, małe, kochane, nierozsądne stworzenie — zawołała Stella, całując mnie serdecznie. — Przecież nie będziesz płakać, co? Paryż nie leży przecież na końcu świata, przyjedziesz więc wkrótce do mnie, wyproszę na to pozwolenie u mego kochanego wuja i opiekuna... A skoro

wreszcie będę cię miała u siebie, to cię tak prędko nikomu nie oddam, a z twoich ambitnych planów o sławie także nic nie będzie, bo znajdzie się pewnie mężczyzna, który cię pokocha, a dla mnie znajdzie się też pewnie jaki wielbiciel, no i będziemy mieszkały w jednym mieście, będziemy się wzajemnie odwiedzać bardzo często i wyprawiać najpiękniejsze rauty, najwspanialsze bale i będziemy się uczciwie dzieliły wszystkim, tylko nie wielbicielami! O! moja blondynka już się wesoło uśmiecha!

— Z ciebie trzeba się śmiać, gdy tak jednym tchem mówisz o małżeństwie i wielbicielach.

— Wielbicieli musi mieć każda wielka pani, tak samo, jak paryskie toalety, wiem to już od dawna. Dla tego jeszcze nie potrzeba odgrywać tragedyi, niech Bóg broni! Kobieta, która bywa w towarzystwach i nie ma wielbicieli, znudzi się wnet swemu mężowi i on potem już o nią nie dba, wierzaj mi! Mąż powinien być zawsze w strachu, że straci jej serce, inaczej zubożetnieje zupełnie!

— Ależ to są okropne idee, Stello, i mam nadzieję, że nie mówisz tego na seryo.

— Zupełnie na seryo, zapewniam ci — jak potem będzie w praktyce, no, tego dziś jeszcze nie wiem. Najrozsądniejsi ludzie tracą rozum, gdy się zakochają, czemużby i zemną tak nie miało być?

Trzy dni później odebrałam list od mej babki. Pisała, jak następuje:

„Tydzień po dniu, w którym idziesz do Komunii św., zamyślam przybyć do Vevey i zabrać cię z wili Bellevue, bądź zupełnie gotową, albowiem nazajutrz wyjedziesz ze mną. Będziesz mi towarzyszyć do Londynu, gdzie zabawisz w moim domu tak długo, dopóki nie rozporządę inaczej twoją przyszłością. Madame Beaumont wręczy ci mój prezent na dzień twej pierwszej Komunii św. Przepędź ten dzień w poważnem skupieniu ducha i uczyni postanowienie dobrego, pobożnego życia. Dzień i godzinę mego przybycia oznaczę ci bliżej telegrafem.

Walentyna brabina Willoughby“.

Babka nigdy nie pisała do mnie obszernie lub serdecznie, ale lodowy ton tego listu — teraz właśnie, gdy stałam przed rozpoczęciem nowego życia, ponieważ miałam być odtąd w jej domu, zamroził mi duszę do szczytu i smutne przecucia napęłniły moje serce. Stelli, przed którą naturalnie nie miałam tajemnic, pokazałam ten list.

Przeczytała go błyszczącemi oczami i była oburzoną.

— Czy to tak babka pisze do swej jedynej wnuczki? — zawołała gwałtownie i zacisnęła małe rączki. — Ani jednego serdecznego słowa, ani jednej uprzejmości, i to teraz, gdy ci donosi, że masz z nią razem żyć? Ach, i ja miałam babkę, matkę mego ojca, a lepszej, miłszej kobiety nie było chyba na całym świecie! Jak ona mnie kochała, całowała i pieściła, gdy ja, będąc jeszcze małym, niegrzecznym dzieciakiem, biegłam naprzeciw niej ze schodów i rzucałam się w jej objęcia! Henryk zaś zjeżdżał na poręczy i obejmował ją za szyję, zanim zdołała otworzyć usta, aby wykrzyknąć z przerażenia, a my oboje ledwie, że nie udusiliśmy jej naszymi pocałunkami, dopóki biedaczka, bez tchu prawie, nie powyciągała z rozmaitych kieszeni cukierków i czekoladek! To była prawdziwa babka, która zasługiwała na to, że Henryk, który już wtenczas był podporucznikiem, gorące łzy wylewał nad jej grobem i że ja przez długi czas spać nie mogłam z żalu za nią! O ty moja biedna Dorciu, to nie będą dla ciebie różane dni u takiej babki; staraj się tylko o to, abyś jaknajprędzej przyjechała do mnie do Paryża i abyś jak najprędzej wyszła za mąż! Ale nie — daj mi najpierw uroczyste przyrzeczenie, że prędzej nie wyjdiesz za mąż, dopóki nie zobaczysz... no, dosyć, dopóki nie będziesz u mnie w Paryżu.

Spojrzałam zdumiona na Stellę.

— Ależ za kogo ja mam iść za mąż?

— To wszystko jedno — a raczej — to nie jest wszystko jedno — ty masz mi tylko przyrzec, że prędzej nie pójdziesz za mąż, albo nie zaręczysz się, zanim nie będziesz u mnie w Paryżu!

— Przrzekam ci to chętnie, bo w Londynie, u mej babki nie będę zapewne królową, otoczoną wielbicielami.

— Kto może wiedzieć, najdroższa! Jeżeli będziesz chciała pozbyć się wnet ciebie — ty, z twoją twarzą — z twoim majątkiem...

— Ach, głupstwo, Stello! Być zaślubioną dla twarzy i majątku, to dosyć smutnie, o ile mi się zdaje.

— Mnie także — odpowiedziała Stella sucho. — Ale dzieci naszego czasu bywają albo dla jednego, albo dla drugiego, co się jeszcze częściej zdarza, zaślubiane. Słowiczek ze swemi idealnemi zapatrywaniem należy do przyszłego stulecia! Ja natomiast jestem prawdziwym dzieckiem naszego wieku — zawsze ładnie praktycznie, myśleć o własnej korzyści.

— Uczyniłaś też tak, gdy zawierałaś ze mną przyjaźń? — zapytałam, śmiejąc się.

— O, przed dwoma laty byłam znacznie sentymentalniejszą, a zresztą przyjaźń nie jest nigdy tak poważną i nierozzerwalną rzeczą, jak małżeństwo.

— Ja przedewszystkiem myślę, że prawdziwa przyjaźń jest także poważną i nierozzerwalną, że będę cię kochała, póki żyję i że tego samego spodziewam się po tobie. Przecież przyjaźni nie można wyrzucić, jak starej sukni, skoro nam się znudzi i stanie niewygodną! Prawda, Stello!

— Nie, naturalnie że nie, ty mały apostołe wierności! Któż mówi o tem? Ja się cieszę, że mam ciebie i czułabym się okropnie nieszczęśliwą, gdyby ciebie nie było — ale twoja babka niezrozumie cię pewnie i nie oceni twej wartości! Ciekawam też, co ci podaruje, zapewne coś bardzo kosztownego.

— Najchętniej nie chciałabym nic od niej przyjąć — zawołałam gwałtownie. — Ponieważ mnie nie kocha, przeto nie pragnę też żadnych od niej podarunków.

— Ja nie wiem, czy to słusznie — rzekła Stella zamyślona. — Podarunki nie mają, podług mego zdania, nic wspólnego z miłością! Jeżeli na przykład wuj da mi piękne klejnoty, to przyjmę je i noszę, i nie chodzi wcale o to, czy on mnie przytem kocha, czy nie. On ma pieniądze, ja nie, on jest stary i brzydki i nie cieszy się klejnotami, ja jestem młoda i ładna i przepadam za niemi, poco więc jeszcze łamać głowę nad tem, czy mnie kocha? Ludzie, którzy mnie nie kochają są mi też wstrętni i basta.

— U ciebie Stello, jest inaczej, jak u mnie. Ty nie zależysz od twego wuja tak, jak ja od mej babki. Ja, oprócz niej nie mam nikogo na świecie, ty zaś masz brata!

— Tak, mego Henryka! — I czarne oczy Stelli zajaśniały nowym blaskiem. — Gdybym jego nie miała, widział Doro, to nie chciałabym żyć wcale! Gdy pomyślę o naszym zobaczeniu się...

Nie dokończyła. Czulią zapewne, jak mi smutnie było słuchać tego opowiadania, mnie, której na całym bożym świecie nikt nie pragnął zobaczyć i uścisnąć!

Owego dnia, kiedy dzwony kościelne wzywały wiernych na nabożeństwo, i ja byłam po raz pierwszy u stołu Pańskiego, owego dnia byłam rzeczywiście niezwykle poważną i płakałam rzewnymi łzami, gdy pomyślałam o tych, które tu, otoczone rodziną, szły do kościoła. Przeszłego roku była Stella wprowadzić też samą, ponieważ brat jej nie uzyskał urlopu, ale jego serdeczne listy, piękne podarunki, nadzieja ujrzenia go,

wszystko wprawiło ją w wyborny humor, i Stella promieniała szczęściem. Ja klęczałam przy ołtarzu smutna i przygnębiona i prosiłam Boga, aby mnie wziął pod swoją opiekę w przyszłości, przed którą drżało moje serce. Na mojej szyi jaśniał sznur przepysznych, prawdziwych pereł, które mi dziś rano pani dała w imieniu babki — był to prawdziwie książęcy dar, wszyscy się nim zachwycali — dla mnie byłby on tylko wtenczas miał wartość, gdybym była napewne wiedziała, że należał kiedyś do mojej matki.

Poważny dzień ów kończył się wesoło; pani zaprosiła kilka osób i urządziła mały, wykwintny obiad, złożony przeważnie z moich ulubionych potraw. Ubrana w jasną, kosztowną suknię, z bukieciem wonnych róż przy staniku, byłam bohaterką dnia; Stella siedziała obok mnie i czarowała wszystkich wesołością i tworem rozmaitych planów na przyszłość — ale te plany tłumaczyła tylko mnie, do ucha. Na małym palcu mej lewej ręki błyszczał śliczny pierścionek, złożony z samych niezapominajek — dar Stelli.

— Gdyby mi ten przebrzydły wuj dawał więcej kieszonkowego, to byłabyś dostała coś lepszego mój słowiku — zawołała z westchnieniem, dając mi pierścionek — ale kiep, kto więcej daje, niż ma. Wiesz, jak pomimo to cię kocham — weź więc te niezapominajki, i noś je, a pomyśl zawsze o mnie, ile razy na nie spojrzysz!

Mój śliczny, niebieski pierścionek! Mam go zawsze jeszcze, chociaż nie mogę go już nosić — wówczas bowiem miałam ręce tak drobne i palce tak cienkie, jak dziecko. Ale nie dałabym go nikomu, za nic w świecie — patrzę często na niego, i tak, Stello — myślę wtedy zawsze o tobie!

Wszyscy byli tego dnia bardzo dla mnie uprzejmi, pan i pani, i panna Anna, nasz dobry duch, a nauczycielki, nic już nie mówiąc o koleżankach. Wszyscy żalowali, że opuszczam pensję — co minutę mówił ktoś:

— Doro, nie zapominaj o mnie! — Doro, pisz też do mnie! — Doro, kochasz mnie trochę?

Od każdej pensyonarki dostałam małą pamiątkę — już to obrazek, już to książkę, ołówek, pudełko i wiele innych takich drobnostek; pochowałam je wszystkie starannie do większego pudła, noszącego napis: „Pamiętki z Vevey“. Są tam jeszcze kwiaty, które mi Stella zrywała, kilka

listków jaśminu, które mi raz przysłał jeden z moich tancerzy, wraz z czułym wierszykiem, piosnka, którą pan Monbois dla mnie własnoręcznie napisał — kilka rysunków „marzycielki“, i gdy pudło to otwieram, wtedy staje przed oczami mej duszy cały ów szczęśliwy czas mego pobytu na pensji, i śle mi pozdrowienie, z uśmiechem na wpół smutnym, na wpół wesołym.

Nie minął jeszcze tydzień od owego dnia, gdy nadszedł telegram od mej babki.

— Przyjeżdżam jutro po obiedzie o 5, minut 20, do Vevey, nazajutrz tym samym pociągiem odjeżdżam z tobą.

Stella oburzała się, że skrócono nam nawet ostatnie dni, i mówiła poważnie:

— Pamiętaj, mój słowiku, że twoja babka uczyni zawsze to, czego ty nie będziesz sobie życzyła!

Nie brzmiało to wcale zachęcająco, ale przekonałam się niestety później, że Stella miała słuszość!

I tak nadszedł ów dzień, którego się obawiałam, i o piątej stałam z mocno bijącym sercem na peronie dworca w Vevey. François, służący pani, był również; oboje wyteżyliśmy oczy w kierunku mającego nadejść pociągu. Rozległ się świst — czarny dym ukazał się z daleka, zaczęto głośno dzwonić, i zaraz też wjechał pociąg wolno pod oszklony dach peronu. Z wagonów wysiadło kilka tylko osób, kilku głośno rozmawiających mężczyzn, kilka pań i dzieci — postąpiłam kilka kroków naprzód, i stanęłam zmieszana.

— Dora Paoli, — odezwał się za mną jakiś głos. Odwróciłam się szybko.

Ujrzałam starą, mniej więcej pięćdziesięcioletnią kobietę, ubraną w wygodny, szary płaszcz podróżny, o tłustej, pocziwej twarzy, opartą o wysoką laskę parasolki. Miała bujne, ciemne jeszcze włosy, skromnie zaczesane, i żywe, niebieskie oczy, o wyrazie łagodnym i dobrym. Czy to moja babka, której się tak bałam?

— Hrabina Willoughby? — odpowiedziałam nieśmiało. Zamierzałam przytem pocałować jej rękę.

— Ach nie, nie — broniła się żywo nieznajoma. — Babka pani siedzi w wagonie, ja tylko miałam panią zaprowadzić do niej. Jestem Barbara Marton, pani hrabina pisała już pewnie co o mnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Marya Rodziewiczówna.

JERYCHONKA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Oni szukają tego — mówiła Magda dalej — co stracili na wieki... ideału. Sztuka, znudzona ciąglem kupczeniem sobą, zostawiła im to, co teraz popłaca... technikę, a zabrała to, na co niema pokupu... ducha! Jaka wiara, taka ofiara! Jaka myśl, taki czyn! O, Malicki mądrze mówił i bardzom mu wdzięczna za zdrowe słowa.

Wzdrygnęła się i dodała z oburzeniem:

— Nigdy mi jeszcze tak smutno i pusto nie było, jak wśród nich dzisiaj. I to oni będą kierowali Filipem! On ich wybrał. Chodzi mu więc tylko o reklamę.

— A ta baronowa! — wybuchnęła Osiecka. — Czyś ślepa, czy mnie chcesz oszukać, że jej brnisz? On się mieni, gdy o niej mowa.

Magda milczała.

W tej chwili to ją nawet mniej bolało, niż sponiewieranie sztuki.

— Czy prędko skończysz portret? Bo ja na tę kobietę nie chcę patrzeć.

— Ostatnie dziś było posiedzenie. Za tydzień portret będzie na wystawie.

Wyszła do pracowni, rada pomilczeć. Powoli dzień się kończył i stało się już tak cicho, że słychać było wieczorne rozmowy wróbli po rynkach. Magda położyła się na szeslongu i zaczęła duchową z sobą rozmowę.

Rozstrojona była i zbuntowana na życie. Co się stało? Czego? Przecież to, co jest dzisiaj, było wczoraj i będzie jutro. Myślała, że jest w zgodzie ze światem i ludźmi, miała się za dojrzałą i szczęśliwą. Dziś drażniło ją wszystko, a przede wszystkim punkt widzenia ludzi.

Fink inteligentny był, słuchał Malickiego, a gdy ten wyszedł, szacował nie jego, lecz kamienicę.

Sylwester, wzdychając do niej, oburzał się na samą myśl, że Oryż może czynić podobnie. Filip wysilał się, by zaimponować zbytkiem, a nie dbał o talent.

O ona sama? Dlaczego się gniewała i oburzała? Czy też nie spaczył się jej sąd i punkt widzenia? Wpół leżąc z przymkniętymi oczyma,

nie zauważyła, że portyera rozchyliła się i do pracowni wszedł Oryż.

Stanął w progu, popatrzył na nią. Przez chwilę rysy jego wypiękniały wielkiem rozradowaniem; potem znowu przybrały niedbałą i cyniczną maskę, i zaczął nucić przez zęby oberka.

Magda się obejrzała, ale nie rzekła nic. Zwykle nie witali się, ani żegnali; uważała go za domownika.

I Oryż się nie odezwał. Pokręcił się po pracowni, obejrzał portret i szkic „Kultu“, poszukał, czy niema czego nowego, a potem usiadł u okna, dobył gazetę z kieszeni czytał, nie przestając nucić.

Może z godzinę nie odezwali się do siebie. Zmrok zupełnie zapadł. Magda się uspokoiła i zaczęła snuć jakieś marzenia.

Cicho Oryż wstał, zdjął ze ściany gitarę, i ledwie strun tykając, wybierał jakąś melodię. Mimowoli Magda słuchała. Talenty Oryża były to zawsze niespodzianki. Wiedziała, że pochwałą wywoła cyniczny koncept i w jednej chwili zaprzestanie, więc uwagi nigdy pozornie nie zwracała. Wiedziała też, że cnotę, ideał, formy towarzyskie, ofiarę, uczucie uważał za rzeczy niegodne wyznania i wyrazu, że krył się z niemi, jak ze wstydem, przed ludźmi, aż urobił o sobie opinię najgorszą, z czego był zupełnie zadowolony, i że powątpiewanie o prawdziwości tej opinii uważałby za obelgę.

Więc po chwili rzekła obojętnie:

— Przecież pana Fink uwolnił. To dobrze!

— Co to za dobrze! Czy tam się siedzi, czy gdzieindziej między głupcami, zawsze się ma do czynienia z największym głupcem, to jest z sobą.

Magda się uśmiechnęła. To nieparlamentarne określenie było odpowiedzią na jej rozmyślanie o sobie.

— A ja dzisiaj byłam na śniadaniu u Filipa.

— Słyszałem, i jak ten derwisz, wielbiłem Boga.

— Co za derwisz?

— A ten co każdego ranka stawał na drodze sultana i dziękował Allahowi, że go nie uczynił sultanem.

— Mnie też wcale tam wesoło nie było.

— A pewnie. Kocha pani Osieckiego, a Osiecki baronową. Kobiecie to dosyć, by stracić równowagę.

— Pan ją traci jeszcze z marniejszej racji.

— Nie mam nic do stracenia. Obejdę się zupełnie bez równowagi.

Znowu z cicha wziął kilka akordów.

Magda wyprostowała się i rzekła swobodnie:

— Jeśli kocham Osieckiego nieszczęśliwie, to tem lepiej. Miłość bez wzajemności daje natchnienie.

— Jak komu. Lew kocha lwa, a wrona wronę. Ale gdy paw kocha srokę, lub gołąb kaczkę, to już nie jest miłość nieszczęśliwa, ale głupia. A zresztą, czy pani nie dość, że kochasz sztukę bez wzajemności? Co ta biedaczka cierpi od pani za prześladowanie! Portret widzę gotów. Kogoż teraz pani chce pacykować?

— Nikogo, bo chcę trochę wypocząć.

— Warto! Leżeć na kanapie i śnić o Osieckim! To przynajmniej będzie naturalnie po kobiecemu.

— Właśnie, chcę panu dogodzić.

— Szkoda fatygi. Ja wcale na panią uwagi nie zwracam i od miesiąca wynoszę się.

— Szczęśliwej drogi i pomyślności. Skorzystam jeszcze z ostatnich chwil i pójdziemy jutro na wieczór do Zaklickich.

— A cóż to ja mam się tam do spowiedzi przygotowywać, słuchając sentencji tych dwóch mumii? Dlaczego to cnota jest zawsze taka nudna?

— Dlatego, że nic nowego nie wymyśla.

Oryż aż się uśmiechnął, tak mu się to podo- bało. Zaczął znowu przebierać struny gitary, a melodya była bardzo łagodna i prosta.

Teraz Magda poznała co grał, i zaczęła z cicha nuci:

Czterem latka wiernie służył gospodarzowi,

Sieczkiem rzezał, nie wieczerał, niech on sam powie:

Matulu, niech on sam powie.

Zupełnie było ciemno w pracowni Oryż wtórował z cicha i słuchając, myślał, że może i on stanie się cnotliwym, bo oto od dwóch lat nic nowego nie wymyślił — jak kochać tę dziewczynę, której nawet nie pożądał. Może się stanie cnotliwym i nudnym.

Przyszedł Wojtek do tatusiów i wziął dziewczynę,

A ja bez niej nieszczęśliwy chyba już zgine,

Matulu, chyba już zgine.

Oryż, dech tamując, słuchał, czy głos Magdy nie stanie się smutniejszym, ale nie zauważył zmiany.

Równie spokojnie rzekła:

— To ładne, bo proste. Zagraj pan jeszcze cokolwiek.

— Nie umiem grać — burknął, odkładając instrument. — Gram, póki mnie bawi, i dla siebie.

— Więc przejdźmy do salonu. Może pan trochę pogrymasi z Marynią, bo ja już mam dosyć na dzisiaj pana szczerości.

— Woli pani zapewne fałsze Osieckiego.

— O nie! Filip nigdy przedemną nie kłamie! — odparła żywo.

— Taki nosorożec! On pewnie się pani zwierza ze swoich sukcesów z baronową. To zupełnie na niego wygląda.

— Dlaczego?

— Bo on jest tak sobą zajęty i zachwycony, że oprócz siebie nic nie widzi. Będzie deptał po sercach i myślał, że czyni łaskę.

— Myli się pan. On mi serca nie zdeptał, bo ono na ziemi się nie wala; zaufanie zaś jego cenię bardzo i cieszę się niem.

— Jeśli on się zmarnuje, mała będzie szkoda. Ale jeśli pani z jego racji się zmarnuje, to będzie wstyd.

— Bądź pan spokojny: i sama się uchowam, i jego dopilnuję. Już zaczął pracować. Baronowa będzie miała poważną rywalkę w sztuce.

— Fink inaczej mówi: Osiecki będzie miał kapitalną modelkę, tylko dyabelnie drogą.

— Fink jest wstrętny. Sztuka w jego ustach, to, wedle przypowieści Salomonowych: „Kolce złote w pysku u wieprza!” Nie wspominaj go pan. Gdy pomyślę, że to on jest krytykiem, opuszcza mnie chęć do malowania.

— Alboż u nas jest krytyka? Jest paszkwil, albo płatna reklama. Artysta, któryby chciał nauki, sądu, zdania sprawiedliwego od krytyki, niech się obwieśi. Bo żywemu nikt prawdy nie powie i nie napisze. Będzie interes dla kogo, by go chwalono... to obstaruje i zapłaci reklamę; nie będzie... to go zostawią na łup wszystkich zawiści, złości, szyderstw; słowem, wyrzucą go hyenom na pożarcie. Jeśli ma talent, to go publiczność czasem wydrze hyenom z pysków; jeśli nie ma szczęścia i sympatii w tłumie... to przepadł.

Zamyślił się i po chwili znowu mówił:

— Znała pani Wacka Adamskiego? Dobrze było chłopczysko, pokorne, pracowite, skromne. Nie był pyszny ze swojego talentu, choć miał rzetelną siłę. Osiadł tutaj i pilnie pracował.

Mieszkaliśmy razem. Dał raz dobre studium, sprzedał; dał coś drugiego... poszło. Więc duch weni wstał, zaczął w siebie wierzyć. Aliści, jak głowę nad tłum wychylił, dojrżeli go krytycy. Kto? co? skąd? Czemu się z nimi nie poznał? Czemu potentatom się nie pokłonił, jak śmie obchodzić się bez nich! Powstało oburzenie, obraza. Mówię mu, gdy to zwąchał: „Wacek, zapoznaj się ze starymi i krytykami, bo będzie źle!” Chłop się nie wzdragał nawet, ale zapomniawszy, zwlekał, zajęty robotą. Daje trzeci obraz... znowu sprzedał. Aż tu jak gruchną krytyki! Odsadzili go od talentu, zwymyślali publiczność, że takie nędze kupuje, oszkalowali jego życie prywatne, wydrwili go, odarli, jak hyeny trupa... do kości. Jeden za drugim, dzienniki powtarzały to samo, żeby, broń Boże, nie okazać się gorzej poinformowanym. Wacek przeczytał i zdrętwiał. Jak nożem uciął... przestał tworzyć. Jakiś czas był jak martwy, potem przecie się otrząsnął: podgwintowałem go. Zrobił śliczny rodzajowy obrazek „Powrót rekruta”. Znowu wrzask powstał. Krzyczano nawet na zarząd wystawy, że podobne nędze przyjmuje; pisano tyle, że nikt kupić nie ośmielił się, zarzucano mu, że kopiuje niemieckie oleodruki, że złości i jadu dochodzili do absurdów. „Pluń na nich i maluj dalej — radziłem mu — i nie czytaj tej bibuły”. Wacek istotnie przestał czytać, ale i przestał malować. Zaczął się po knajpach włóczyć, potem po szynkach: „Powiedzieli, że pijak... niechże będzie ich prawda” — odpowiadał z dziką zaciętością. Trwało tak rok, coraz niżej spadał. Aż raz w nocy wracam... świeca się pali, butelka pusta, jakaś kartka na stole. Oglądam się. Wacek stoi w kącie, jakoś dziwnie skrzywiony i nie rusza się. Wołam... nie odzywa się, podchodzę... aha, stoi i mocno stoi, bo uczepiony do sznura za szyję, a sznur u belki uwiązany. Przeciąłem, gruchnął na ziemię — i tyle. Na kartce stało: „Talent zapisuję krytykom, a duszę wódce. Niech wam maluje kto inny!” Gwałtu, co się potem działo! Jakie miał nekrologi, jak urósł, jakie mu cieli pochwały, jak ubolewali nad przedwczesnym zgonem i stratą, jaką sztuka poniosła! A Fink z Sylwestrem pobili się, kto weźmie „Powrót rekruta”, „ostatnie dzieło nieodżałowanej pamięci młodego mistrza”. Oto jest ilustracja dobrodziejstwa krytyki, a pani mówi o niej z oburzeniem. Szkoda nawet tylu względów!

— Pan się jej nigdy nie bał?

— Nigdy. Oni mnie nie zaczepiają, bom nic. Pani dotąd była w łaskach i to gorsze. Lepiej nie mieć wzmianki, niż być strąconym z piedestału. Jeszcze to panią spotka.

— Może być. Mnie już szczęście opuściło — rzekła smutnie.

— Opuścił panią Osiecki. Przepraszam, nie wiadomo, czy to było szczęście. To gorzej, że baronowa jest o panią zazdrosna.

— Dlaczego? To niema sensu.

— Owszem, ma! Przedewszystkiem to, co brudne, nie cierpi tego, co czyste. Po drugie, baronową to drażni, że ona ma tylko piękność, a o pani nikt nie mówi, żeś piękna.

— A nie! Pani jest piękna, ale to nie bije w oczy, lecz bije umysł i dusza. Ta moc poniża baronową, gniewa. A wreszcie, pani nie zdaje się dbać o nią, ani ją mieć za niebezpieczną. Tego ona nie daruje. Niech się pani spodziewa prześladowania.

Magda roześmiała się.

— Ależ pan mi dziś powiedział mnóstwo komplementów! Co się stało? Ktoś pana mi odmienił u Finka.

— Nie, Oryża nikt nie odmieni! Może pani być tego pewna.

— Ależ ja jestem kobieta i pan mi przyznaje duszę! Opamiętaj się pan!

— Bywają cielecia z dwiema głowami, dla czego nie ma być kobiety z duszą? Natura czasem tworzy dziwolągi, żeby jej nie posądzono, iż w pomysłach się wyczerpała. Pani niech to w dumę nie wbija. Ma pani duszę, ale ją pani zmarnuje! Wszystko zaś to opowiedziałem pani na pamiątkę po sobie, przez wdzięczność, żeście mnie stłoczyły i uratowały od kataru żołądka. Myślę się wynieść od miesiąca, a może od jutra przestanę przychodzić.

— Gdzież się pan wynosi?

— At, trochę w świat ruszę. Tkwiłem tu za długo. Obrzydliscie mi ze szczętem!

— Szkoda mi pana będzie. Prawda, za długo pan bawił, żeby odejść bez żalu. Dobrze mi było z takim kolegą!

Oryż ani słowa nie odparł. Chwilę siedział nieruchomo, potem żywo wstał i ku drzwiom się skierował.

— Już pan idzie? No, do widzenia! — rzekła Magda — wstając także.

— Niech będzie... do widzenia! — lekceważąco odparł Oryż. — Ale ja tam wcale po tem nie tęsknię, ani pragnę!

Wyszli do salonu i — zdziwili się. Majorowa miała gości, dwie panie, zajmujące się dobrotczynnością i księdza Walerego. Toczyli ożywioną dysputę o przytułku noclegowym dla starców.

Magda przywitała się. Oryż bez żadnej ceremonii poszedł do przedpokoju, a nakładając palto, gwizdał. Damy dość dziwnie patrzyły na Magdę, która, wyszedłszy z ciemności na blask, mrugała oczyma i miała minę, jakby zmieszana. Nie przyszło jej przecież na myśl, aby stąd wynikły dla jej czci i honoru uwłaczające plotki i podejrzenia.

IV.

Ranek baronowej Faustanger rozpoczynał się około godziny jedenastej. Mieszkała wprawdzie z matką; ale miała osobną sypialnię i buduar, a wejście osobne do tej części lokalu.

Matka jej mieściła się ciasno i mało przebywała w domu, zawsze zajęta interesami; gości swoich przyjmowała w gabinecie.

Gdy dzwonek dawał znać z sypialni, że baronowa się przebudziła, pierwsza udawała się do niej stara Angielka, która życie spędziła w ich domu jako nauczycielka, dama do towarzystwa, a jako emerytka zajmowała się teraz faworytem pinczerem i kotem angora.

Brała swoich pupilów na ręce i przynosiła do łóżka pięknej pani.

Baronowa ziewając, przeciągając się w puchach, pytała znudzonym tonem:

— Cóż słyszać dzisiaj, miss Funch?

— Bijou źle jadł, a Ninna napiera się na spacer. Jakże noc przeszła pani baronowej?

— Nieosobliwie. Ten pokój jest za ciasny. Miałam trochę duszności. Proszę o śniadanie.

Wnoszono je natychmiast; baronowa je spożywała leżąc, wybredzając na ciastka, grymasząc na kawę.

Potem zakładała ręce pod głowę i rozmyślała, jak dzień przepędzić.

Najbardziej lubiła te, w których miała wizyty u szwaczki lub u fotografa. Wtedy wstawiała żywo i była wesoła. W inne dni świat dla niej był tak pusty i nudny, że nie miała wcale ochoty z puchów wychodzić. Wtedy czekała na matkę, która około południa wracała z miasta, uśmiechnięta lub opryskliwa, stosownie do tego, jak jej się udały interesy. Przychodziła do córki ze skórzaną torebką w ręku, w kapeluszu i okryciu i zaraz kazała Angielce wynosić pinczera i kotkę, które wylegały się na łóżku córki.

Wtedy wynikały spory.

— Nie ruszać mi faworytów! — wołała baronowa. — Wolę je, niż wszystkich ludzi.

— A ja nie cierpię. Z każdego człowieka, byle go umieć wyzyskać, może być korzyść, a z tego co! Głupie i krzykliwe, a kosztuje tyle, co koń kareciany! Wiesz, że rumuńskie papiery spadają?

— To niech je mama sprzeda.

— Ani myślę! Kupiłam dzisiaj więcej. Wstawaj, przecie już dwunasta.

— Więc cóż! Przecież w najem nie idę! Nie mam dzisiaj co robić.

— Idź na wystawę. Portret już tam jest.

— Dobrze umieszczony?

— Zapewne. Poleciałam to Myślickiemu; obiecał. Czyś już zapłaciła wszystko Domuntównie?

— Nie. Trzysta reńskich winnam.

— Jakto? Przecież ci dałam cały tysiąc!

— Rozeszły się. Dziś mi daj te trzysta, bo muszę odesłać.

— Oszalałaś! Rozeszło się trzysta! Ja dwa razy płacić nie myślę.

— Jak sobie chcesz. Wystawię weksel. Mam przecież cośkolwiek po ojcu. Przypomni ci to komornik.

Nie znać było gniewu w jej tonie, tylko wielki chłód i lekceważenie. Z rękoma założonymi pod głowę i wzrokiem utkwionym w sufit, myślała o czemś innym. Ledwie raczyła rozmawiać z matką.

— Nie miałabyś i centa dotychczas, żebym ich nie pilnowała! Sokolin nie daje nic, w kamienicach ciągle naprawy i zwiększone podatki, na placach z dzierżawcami procesy i papiery spadają. Tobie się zdaje, żeś milionerka, a tu ledwie przy mojej skrzętności koniec z końcem się wiąże.

— To mi nic do tego. Jeżeli dla twego skapstwa rozstała się z Faustangerem, to nie po to, aby cierpieć niedostatek. Powiedziałam ci wtedy: — „Żałujesz oddać z rąk mój posag: bardzo pięknie, zostanę przy tobie, lecz wymagam, aby mi na niczem nie zbywało? Pamiętasz?

— A czegoż ci brak?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wasze zdrowie

odzyskacie! Osłabienie Wasze i bólesci znikną, Wasze oczy, nerwy, muszkuły, ścięgna będą silne, sen zdrowy, ogólny Wasz stan zdrowia znowu się polepszy, gdy użyjecie prawdziwego Fluidu Feller'a z marką „Elsafluid“. Próbny tuzin 5 koron franko. Wytwórcą jest tylko aptekarz E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260, Kroacya.

:: HUMORYSTYKA ::

W szkole.

- Pomaranc, ile będzie dwa razy trzy?
- Szedem.
- Jak to, nie sześć?
- Ja chciałem, żeby pan profesor na ten interes co zarobił.



... Może.

- Żona do męża, zawiadowcy stacyi kolejowej.
- Ach ty niegodziwczel! Od miesiąca proszę cię o pieniądze na nową suknię, a ty nie i nie.
- Jeżeli ci się taki nieporządek niepodoba, moja duszko, to możesz wnieść na mnie skargę do księgi zażaleń.



Nieprzewidziana konkluzja.

- Powiedz mi, mężulku, czy to daleko do tej restauracyi, gdzie ty chodzisz na piwo?
- Broń Boże! dziesięć minut drogi.
- Ale kuchnia z pewnością nie szczególna.
- Przeciwnie... znakomita! wszystko na maśle, świeże, smaczne.
- A piwo?
- Mieszczański pilzner... niezrównane!
- Cóż, kiedy dym z cygar musi być nie do zniesienia... a to szkodzi na piersi.
- Tam dym?... Ani śladu! wentylatory elektryczne funkcjonują idealnie.
- Co ty mówisz?... To zapewne i damy uczęszczają tam także wieczorami?
- Bardzo wiele ich bywa.
- Chwała Bogu!... w takim razie od dziś będę i ja z tobą chodzić tam na kolacze!...



Bardzo proste.

- Panie redaktorze, w zeszłym tygodniu pozwoliłem sobie przesłać panu redaktorowi moje tłumaczenie francuskiej powieści. Obecnie chciałbym się dowiedzieć co z tem słychać?
- Żałuję mocno, ale dla naszego pisma to się nie nadaje!
- Więc cóż mam teraz z tem tłumaczeniem zrobić?
- Hm... wie pan co? Odtłumacz je pan napowrót...



Zna się na rzeczy.

- Doróżkarz, ale tylko jedź prędko, bo moja teściowa spieszy się do pociągu!
- Niech jasnie pan będzie zupełnie spokojny, będę jechał takim galopem, jakby to była moja rodzona teściowa!...



Przewidujący ojciec.

- Ojciec: — Więc zaręczyłeś się mój synu! Czyś tylko dobrze sobie to przełożył!
- Syn: — Naturalnie mój ojczel!
- Ojciec: — No to dobrze! Pomyśl jednak nad tem, że małżeństwo może czasem trwać kilka lat...



Próżna butelka.

- Irlandczyk potrzebował próżnej butelki na jakiś roztwór chemiczny i udał się do chemika, aby ją nabyć. Wybrawszy jedną, która odpowiadała jego celowi, zapytał ile kosztuje.
- No — odpowiedział zapytany — jeśli chcesz próżną butelkę, będzie cię kosztowała jeden cent, ale jeżeli chcesz co do niej, możesz ją otrzymać za darmo.
- Naturalnie, tak to rozumiem — mówi klient. — Proszę mi dać do niej korek...



Ala wątpię.

- Ex-król portugalski żąda renty od nowego rządu.
- A dadzą mu ją?
- Możeby i dali, gdyby się zjawił w Lizbonie osobiście, ale wątpię, aby mu forma wypłaty smakowała.



Syn i ojciec.

- Łajał raz ojciec syna, że długo sypia, a chcąc mu dodać bodźca i zachętę do wczesnego wstania, przytoczył mu fakt, że ktoś rano wstawszy, znalazł worek pełen złota.
- Ale ten, co zgubił worek, musiał jeszcze wstać wcześniej od niego — odpowie synalek wygodnicki.



Reklamy.

Kaszlącym zwracamy uwagę na ogłoszenie o *Thymomel Scillae*, przez lekarzy zapisywany, a bardzo skuteczny preparat.

My radzimy Wam, nie zaniedbywać cierpień reumatycznych i podagrycznych, kłócia w boku, bólu członków, krzyży i postrzału. Próbną tuzin fluidu Feller z marką „Elsafluid” kosztuje tylko 5 koron franko. Skuteczne składniki korzenia rabarbarowego, ułatwiające wymianę materii przeto polepszające krew, zawierają uśmierzające bóleści, wzbudzające apetyt i łagodzące kurcze, przeczyszczające pigułki rabarbarowe Feller z marką „Esa-pillen”, 6 pudełek 4 kor. Dostarcza E. V. Feller w Stubicy. Elsaplatz Nr. 260, Kroacya.

„KUPIEC POLSKI”

największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.

„Kupiec Polski” : Ogłoszenia
omawia sprawy kupiectwa w „Kupcu Polskim” naj-
wszystkich dzielnic polskich. piej się opłacają.
„Kupiec Polski” : „Kupiec Polski”
obfitością treści przewyższa ma czytelników we wszyst-
nawet fachowe pisma nie- kich sferach i dzielnicach
mieckie. Polski.

Prosimy żądać numerów okazowych.

Prenumerata: w Austrii 2 Kor. kwartalnie, 8 Kor. rocz.
w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.
w Rosji 1 Rub. kwartalnie, 4 Rub. rocznie.

Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

„Szkoła” jest najstarszem pismem pedagogicznym w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszernie informacje o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna” podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orjentację w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO, miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle, a szkolnictwu ludowemu w szczególności, wychodzi we Lwowie pod redakcją Komitetu.

Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną”, przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły” wynosi:

rocznie 8 k. — 3 rb. 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej” wynosi:

rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — 90 „ — 2 „

Adres redakcyi i administracyi:

Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

Redaktor odpowiedzialny Henryk Mierkiewicz w Poznaniu.
Członkami „Dziennika Poznańskiego”.

8

niezmiernie ciekawych

powieści

Tajemnice wielkiego miasta

na tle głośnych wypadków (430 stron)

Złośliwy figiel - Czerwonym szlakiem

na tle dziejów Szertok Holmesa (320 stron)

Róża czarna i róża biała

na tle stosunków amerykańskich (240 stron)

Skarb więźniów - Przygoda greka

Tańczące znaki i Samotna cyklistka.

Wyżej wymienione nadwyraz interesujące powieści

zamiast **13 Kor. 70 hal.**

po wyjąt-
kowej cenie **7 Koron**

wysyła franko za poprzedniem nadesłaniem
należności.

„GWIAZDA”

Poznań,

ul. Wilhelmska nr. 11.



K
N
A
P
I
Ń
S
K
I

Zakład własny

wyrobów ortopedycznych

Ludwika Knapińskiego

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaże, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Knapiński, Kraków, Mikołajska 7.

Telefon 505.



ODRODZENIE

Czasopismo poświęcone sprawom
współdzielczym, przemysłowym
— i gólno-ekonomicznym —

Wydawcą tego

pisma jest „Związek Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych” we Lwowie plac Smolki 1. 4. działający w porozumieniu z Komisją krajową dla spraw przemysłowych, Ligą pomocy przemysłowej, krajowym Związkiem przemysłowym i innymi wybitniejszymi organizacjami.

Przedpłata z przesyłką pocztową w Austrii
rocznie 12 K, półrocz. 6 K, kwartal. 3 K.

Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.

Redakcja i administr. Lwów, pl. Smolki 4.

Polskie firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czytelników winne ogłaszać w bardzo rozpowszechnionym

„Tygodniku Narodowym”.



„Krajowy Kolejarz”

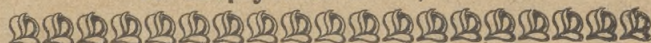
centralny organ galicyjskich kolejarzy, najstarsze pismo dla kolejarzy polskich wychodzi 15-go każdego miesiąca, zawiera:

Fachowe artykuły pisane przez kolejarzy i kronikę z życia kolejarzkiego

Przedpłata wynosi rocz. 2 Kor. półrocz. 1 Kor. — kwartalnie 50 hal.

Przedpłatę przysyłać należy do

Administracji „Krajowego Kolejarza”
ul. Szeptyckich L. 68, Lwów.



Ogłaszajcie w polskich gazetach!



Od Administracji.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w otwartej kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.



„Przewodnik Kółek rolniczych“

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacje handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we Lwowie, ul. Kopernika 11.

„Nowiny“

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcją Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny“

celują szybkością
informacji i obfi-
tością zajmującej
lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych
— numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny“ Kraków Wiślna 2

Dyplomy honorowe:

Na wystawie
Kraków 1901
Karlsbad 1908

Dyplomy honorowe

Na wystawie
Londyn 1908
Paryż 1908

W. Sznajdrowicz

Kuśnierz

15

9

w Krakowie, Rynek Linia A-B Nr. 45, I. piętro,

Filia: w Krynicy.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój
obficie i jedynie w towary, doborowe
zaopatrzone Skład i pracownię jakoto:
Futra dam., Rotundy, Żakietki, Saka,
Peleryny, Boa Garnitury, Futra męskie,
Spacerowe i podróżne, Marynarki, Sur-
duty, Bekiesze i Dohy, Czapki futrzane
oraz wszelkie przybory w zakres ten
wchodzące, oraz wielki wybór, Ser-
daków i Peleryn.

ZAMÓWIENIA

wykonują się z całą starannością, jak również
wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer, i w tym
celu magazyn posiada wielki **Wybór materiałów**
z fabryk krajowych, jak również angielskich.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnachs prosi-
my się odwoływać na
ogłoszenia w piśmie
naszem.

Fabryka
pieczęci
kauczukowych

St. Niemczyk

9 KRAKÓW L. 9.
Sukiennice 10. B.

„GŁOS POLSKI“

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.

PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY,
Rok założenia 1904.

Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupezyć w Krakowie.

Wszelkie żurnale mód

francuskie, angielskie i wiedeńskie

cena 1 K.. z przesyłką K. 1.40, za

zaliczką K. 1.65

szczególnie żurnal sezonowy

Favorit

na wiosnę i lato 1911 zawierający około 1000 modeli jakoteż GOTOWE KROJE na suknie, kostiumy, żakiety, spódnice, szlafroki, matynki, bieliznę damską i męską, rękawy, ubiory dla dzieci itd. oraz manekiny na wszelkie miary poleca

M. LANDAU, Kraków, ul. Mikołajska 7.

Dla prenumeratów w Krakowie dostawa do domu bezpłatna.

Sandały Kneipowskie

poleca najtaniej

Bazar krajowy

w Krakowie

Rynek główny I. 20.

Kilimy krajowe

poleca

:: magazyn bielizny ::

:: konfekcyi męskiej ::

Braci Bilewskich

w Krakowie.

Magazyn i Pracownia sukien męskich

MARCINA CZAJI i WŁ. RECHOWICZA

Kraków, ulica Mikołajska L. 24.

poleca na sezon letowy wielki wybór materiałów

modnych, krajowych i oryginalnych angielskich.

Wykończenie artystyczne, ceny przystępne.

K. Zieliński,

— optyk —

Kraków, Rynek, A-B 34

Poleca obficie zaopatrzony magazyn wyrobów optycznych, oraz pracownię, przyjmuje do reperacji maszyny do pisania wszelkich systemów, gramofony i t. p.

Pierwszy zakład bandaży - ortopedyczny HYNKA BOGDANOWICZA

w Krakowie, ul. Floryańska 9 (w podwórku)

poleca w wielkim wyborze i najtaniej:

Pasy rupturowe pachwinowe, nerkowe i brzuszne.

Sznurówki i szelki do prostego trzymania się.

Przyrządy do równania różnic części ciała.

■ Poduszki i irygatory, pończochy gumowe, strzykawki, wate, aparaty inhalacyjne, suspensorya i t. p.

■ Pasy higieniczne miesięczne systemu Teufla.

LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE,

Przybory do ryb-
łóstwa.

PERFUMY, MYDŁA

PUDRY kraj., franc.
i angielskie

14 polecają najtaniej

REIM i Ska. Kraków

Rynek 37. Linia A. B.

**Kantor
wymiany**



i kasa

otwarte przez cały
dzień bez przerwy
od g. 8 rano do 7 w.

Centralny bank

czeskich kas oszczędności

FILIA W KRAKOWIE

Rynek główny L. 42, Linia A-B Wchód od ulicy św. Jana L. 1

Ústřední bank

českých spořitelén

Wadya i kaucye

Wkładki oszczędności cca 115,000.000

Wadya i kaucye

Akredytywy

przekazy, inkasa na wszystkie
miejsca krajowe, zagraniczne,
zamorskie, szczególnie do
Północnej Ameryki :: :: ::

Podatek rentowy opłaca
bank z własnych fun-
duszów ::

Wkładki

:: na książeczki :: 4% do 4 1/2%
i rachunek bieżący

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią
zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“
z watą „SALVESOL“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien
liści morwowych, więc nie dziwnego, że pali się
lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Wła-
sności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio
mocnych — wskutek swego nader delikatnego
włókna roślinnego. Każdy palący tytoń, chcąc
uniknąć zatrucia **nikotyną**, powinien palić tylko
w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakiecik „Waty Salvesol“ wy-
starcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarni-
czek 1 kor. 20 hal. Pakiecik waty „Salvesol“
30 lub 60 hal.

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Beldowski, Kraków.

PRZYJACIEL LUDU

ORGAN POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO

redagowany przez pośła Stapińskiego
jest najpoczytniejszem pismem ludowem
(nakład 18 000 epz.).

Wychodzi regularnie raz w tygodniu.

kosztuje:

w Galicji i Austro-Węgrzech . 4 korony
do Królestwa Polskiego i Rosji 2 ruble
do cesarstwa niemieckiego . 4 marki
do Ameryki, Rumunii, Danii
i innych państw europejskich 5 koron

PRZYJACIEL LUDU

ma największe zaufanie u włościan i dlate-
go ogłaszanie się w „Przyjacielu Ludu“
przysparza pewnych odbiorców.

Cena ogłoszeń według umowy.

Adr. „Przyjaciel Ludu“ Kraków, ul. Krótka 6.